

HENNING MANKELL

Cios

Szczelina

2011
ZIMA
z kryminal.com
POLITYKA

W
a
b



HENNING MANKELL

Cios
Szczelina

2011
ZIMA
i Kryzys
POLITYKA

w
b



Henning Mankell

cdcd

Cios

Szczelina

cdcd

Rolfowi Lassgardowi, z sympatią, wdzięcznością i niemałym podziwem, gdyż odkrył w Wallanderze wiele cech, których sam się nie domyślałem.

PRZEDMOWA

Dopiero po napisaniu ósmej i ostatniej części serii o Kurcie Wallanderze zorientowałem się, jakiego podtytułu przez cały czas szukałem. Kiedy już wszystko, a w każdym razie większa część serii została napisana, zrozumiałem, że podtytuł powinien brzmieć

„Powieści o szwedzkim lęku”.

Za późno na to wpadłem. Mimo że moje książki wciąż były wariacjami na ten sam temat: „Jakie procesy zachodzą w szwedzkim państwie prawa w latach dziewięćdziesiątych? Czy demokracja będzie w stanie przeżyć, jeżeli naruszy się fundament praworządności? Czy szwedzka demokracja ma jakąś cenę, która pewnego dnia zostanie uznana za zbyt wygórowaną?”.

Te oto pytania padały w większości listów, które otrzymywałem. Wielu czytelników dzieliło się ze mną mądrymi myślami. Grube koperty, cienkie pocztówki z egzo-tycznych miejsc, o których nigdy nie słyszałem, telefony o przedziwnych porach, roz-gorączkowane głosy docierające pocztą elektroniczną są dla mnie dowodem, że Wallander w pewnym sensie wyrażał uczucie narastającej obcości, gniewu, a także zdrowe poglądy na temat zależności między praworządnym państwem a demokracją.

Oprócz kwestii dotyczących praworządności i demokracji pojawiały się również inne. Niektóre z nich dotyczą nieścisłości, które z satysfakcją tropią czytelnicy. Ci, którzy znaleźli „błędy”, niemal we wszystkich wypadkach mieli rację. [W tym miejscu muszę od razu przyznać, że również w tej książce będzie można odnaleźć nieścisłości.

Mimo to jest to wersja ostateczna. Nie ma w tym winy redaktorów. Nie mógłbym sobie życzyć lepszej redaktorki niż Eva Stenberg).

Jednakże zdecydowana większość listów zawierała pytania o losy Wallandera, zanim pojawił się w serii książek. Czyli dokładnie przed 8 stycznia 1990 roku. Kiedy to wczesnym zimowym rankiem wyrwał go z łóżka sygnał telefonu, początek **Mordercy bez twarzy**. Doskonale rozumiem, że czytelnicy chcieliby wiedzieć, jak się to wszystko zaczęło. Kiedy Wallander pojawia się na scenie po raz pierwszy, ma już czterdzieści dwa lata, wkrótce skończy czterdzieści trzy. Jest od dawna policjantem, ma za sobą małżeństwo i rozwód, dziecko i wyjazd z Malmo do pracy w Ystad.



Czytelnicy byli ciekawi. Mnie również to intrygowało. Przez ostatnie dziewięć lat od czasu do czasu porządkowałem szuflady, szperałem w zakurzonych papierach lub przeszukiwałem zera i jedynki dyskietek.

Kilka lat temu, zaraz po ukończeniu piątej powieści *Falszywy trop*, uświadomiłem sobie, że zacząłem w myślach pisać opowiadania, które rozgrywały się, zanim rozpocząłem serię powieści. I znów ta sama magiczna data, 8 stycznia 1990 roku.

Zebrałem te opowiadania w jeden tom. Te, które były wcześniej drukowane w prasie, przejrzałem dosyć pobieżnie. Wyeliminowałem niektóre nieścisłości chronologiczne i zbędne słowa. Dwa opowiadania z obecnego zbioru ukazują się w druku po raz pierwszy.

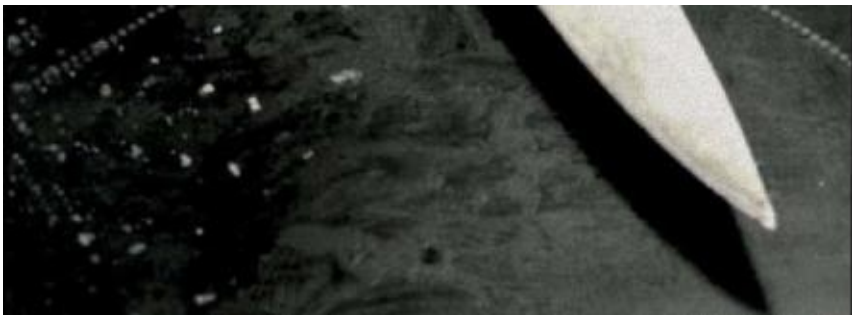
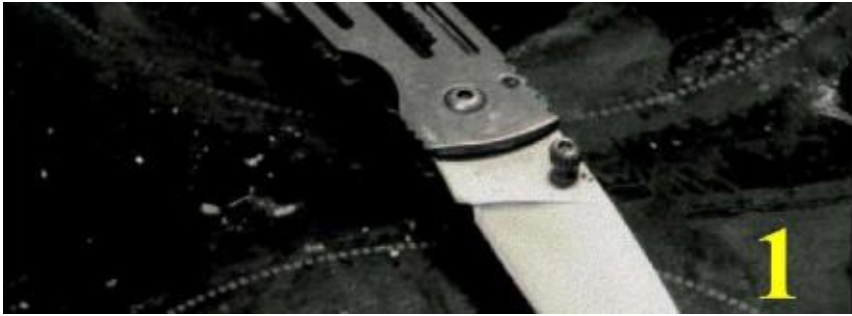
Ale nie dlatego wydaję teraz owe teksty, że wyczyściłem szuflady. Oddaję je do druku, gdyż spełniają funkcję wykrzyknika umieszczonego po ostatniej kropce, którą postawiłem w ubiegłym roku. Czasami dobrze jest się cofnąć do punktu wyjścia. Do czasu przed 8 stycznia 1990 roku.

Żaden obraz nigdy nie będzie pełny. Ale myślę, że te fragmenty powinny się w nim znaleźć.

Reszta jest i pozostanie milczeniem.

Henning Mankell styczeń 19 99





.....

CIOS

cdcd

1

Na początku była tylko mgła.

Albo gęste morze, białe i ciche. Krajobraz śmierci. Po pierwsze, co przyszło na myśl Wallanderowi, gdy z wolna wydobywał się na powierzchnię. Że już nie żyje. Dożył dwudziestu jeden lat. Młody policjant, zaledwie dorosły. Rzucił się na niego z nożem obcy człowiek, a on nie zdążył uskoczyć w bok. Potem była już tylko biała mgła. I cisza.

Budził się powoli, powoli wracał do życia. Pod czaszką kłębiły się niewyraźne obrazy. Usiłował schwytać je w biegu, tak jak łapie się motyle. Ale obrazy mykały i z najwyższym wysiłkiem potrafił odtworzyć to, co się właściwie wydarzyło...

Trzeciego czerwca 1969 roku Wallander miał wolny dzień. Właśnie doprowadził Monę na statek płynący do Danii. Nie był to nowy katamaran, ale eden z tych weteranów, na którym podczas rejsu do Kopenhagi wciąż jeszcze wystarczało czasu na spożycie solidnego posiłku. Mona umówiła się z koleżanką i zamierzały wybrać się do Tivoli lub, co bardziej prawdopodobne, Dochozić po sklepach. Wallander chętnie by jej

towarzyszył, miał przecież wolny dzień. Ale Mona się nie zgodziła. Chciała płynąć tylko z koleżanką. Bez ęzczyzn.

Patrzył, jak statek wychodzi z portu i się oddala. Mona miała wrócić wieczorem i obiecał, że ją odbierze. Jeśli nadal będzie ładnie, zrobią sobie jpacer. A potem pójda do niego do domu w Rosengard.

Na samą myśl o tym Wallander odczuwał podniecenie. Podciągnął spodnie, rzucił ukośnie ulicę i wszedł do budynku dworca. Kupił paczkę papierosów ohn Silver i zapalił, zanim jeszcze wyszedł na dwór.

Nie miał żadnych planów. Był wtorek, przed sobą miał wolny dzień. Nazbierało mu się dużo nadgodzin, głównie z powodu masowych demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie, które regularnie odbywały się w Lund i w Malmo. W Malmo doszło nawet do konfrontacji z policją. Wallander nie czuł się z tym dobrze. Nie miał wła-

ściwie zdania na temat żądań demonstrantów, domagających się wycofania amerykańskich wojsk z Wietnamu. Próbował rozmawiać o tym z Moną, ale ona wciąż powta-rzała, że „demonstranci wywołują zadymy”. Na jego argument, że chyba nie jest w porządku, aby bomby pierwszej potęgi wojskowej świata pustoszyły biedny rolniczy kraj w Azji albo, jak się wyraził pewien wysoki rangą amerykański wojskowy, „cofały kraj do epoki kamiennej”, które to słowa Kurt przeczytał w gazecie, Mona odparowa-ła, że nie ma najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż za komunistę.

Zbiła go z tropu i na tym dyskusja się zakończyła. Chciał się ożenić z Moną, tego był pewien. Dziewczyną o jasnobrązowych włosach, ostrym nosku i drobnej brodzie.

Może nie była ładniejsza od tych, które znał wcześniej. Ale jej właśnie pragnął.

Poznali się rok temu. Wallander miał przedtem dziewczynę, Helenę, która pracowała w biurze spedycyjnym w mieście. Chodzili ze sobą ponad rok. Pewnego dnia oświadczyła nagle, że poznała kogoś innego. Wallander z początku zaniemówił. Potem przepłakał w domu cały weekend. Był nieprzytomny z zazdrości i kiedy wreszcie otarł łzy, udał się do pubu na Dworcu Głównym i tam stanowczo zbyt dużo wypił.

Wrócił do domu i płakał dalej. Kiedy teraz zdarzało mu się mijać tamten pub, aż się wzdrygał. Nigdy już nie przekroczy jego progu.

Nastąpiło kilka ciężkich miesięcy, podczas których Wallander usiłował namówić Helenę, żeby do niego wróciła. Ona jednak stanowczo odmawiała i w końcu tak ją zirytowała jego natarczywość, że zagroziła mu policją. Wtedy się uspokoił. I co dziwniejsze, nagle mu wszystko przeszło. Niech sobie Helena chodzi z innym facetem, pomyślał. Stało się to w pewien piątek.

Tego samego wieczoru przeproważał się statkiem przez cieśninę Sund i w drodze powrotnej z Kopenhagi siedział obok dziewczyny, która robiła na drutach i miała na imię Mona.

Wallander szedł przez miasto pogrążony w myślach. Zastanawiał się, co robi teraz Mona z przyjaciółką. Potem wrócił myślami do wydarzeń minionego tygodnia. Do demonstracji, które przerodziły się w zamieszki. Może to wina jego przełożonych, którzy nie potrafili od razu właściwie zareagować. Wallander wchodził w skład zaim-prowizowanego

rezerwowego oddziału. Wezwano ich dopiero wtedy, kiedy doszło do szarpaniny, co tylko dodatkowo zaogniło sytuację.

Jedyną osobą, z którą Wallander próbował rozmawiać o polityce, był jego ojciec.

Ojciec miał sześćdziesiąt lat i właśnie postanowił przenieść się do Osterlen. Często miewał humory i Wallander nigdy nie wiedział, jak z nim postępować. Szczególnie od czasu, gdy ojciec omal nie zerwał z nim kontaktów. Zdarzyło się to kilka lat temu, kiedy Kurt wrócił do domu i oznajmił, że chce zostać policjantem. Ojciec siedział w swojej pracowni pachnącej farbami olejnymi i kawą. Rzucił w Wallandera pędzlem i zażądał, żeby mu się więcej nie pokazywał na oczy. Nie zamierza, jak twierdził, tole-rować policjanta w rodzinie. Doszło do gwałtownego spięcia. Jednak Wallander nie ustąpił. Postanowił zostać policjantem i żadne fruujące w powietrzu pędzle nie mogły tego zmienić. Kłótnia ucichła tak samo nagle, jak wybuchła, ojciec odgrodził się wrogą ciszą i na powrót zasiadł przy sztalugach. Potem zaczął zawzięcie odrysowywać głuszca z szablonu. Zawsze wybierał ten sam motyw do swoich obrazów, leśny krajobraz, który czasami wzbogacał, domalowując głuszca.

Wallander myślał o ojcu, marszcząc czoło. Tak naprawdę nigdy się nie pogodzili.

Ale znowu ze sobą rozmawiali. Kurt często się zastanawiał, jak matka, która zmarła, kiedy jeszcze był w szkole policyjnej, wytrzymała z ojcem. Jego siostra, Cristina, wyprowadziła się z domu przy pierwszej nadarzającej się okazji i teraz mieszkała w Sztokholmie.

Dochodziła dziesiąta. Lekki wiatr owiewał ulice Malmö. Wallander wszedł do kawiarni obok domu towarowego NK. Zamówił kawę z kanapką i zaczął przeglądać

„Arbetet” i „Sydsvenska”¹. W obu gazetach zamieszczono listy czytelników; w jed-nych chwalono, zaś w innych potępiano działania policji w związku z demonstracjami.

Wallander szybko przerzucał strony gazet. Nie starczało mu cierpliwości. Miał nadzieję, że wkrótce nie będzie już musiał rozpędzać demonstracji. Przejdzie do sekcji kryminalnej. Tak planował od początku i nigdy tego nie ukrywał. Już za kilka miesięcy zacznie pracę w wydziale zabójstw i przestępstw na tle seksualnym.

Znienacka wyrosła przed nim jakaś postać. Wallander trzymał w ręku filiżankę z kawą. Uniósł głowę. Zobaczył długowłosą dziewczynę, mniej więcej siedemnastolet-nią, o bardzo bladej twarzy. Utkwiła w nim wściekły wzrok. Potem pochyliła się do przodu, tak że włosy opadły jej na twarz i odsłoniły kark.

- Tu - wskazała. - Tu mnie pan uderzył.

Wallander odstawił filiżankę. Zupełnie zdębiał.

Dziewczyna się wyprostowała.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odrzekł Wallander.

1 Lokalne dzienniki (przyp. tłum.).

- Jest pan policjantem, prawda?

- Tak.

- I był pan przy rozpędzaniu demonstracji?
- Teraz już rozumiał. Rozpoznała go, mimo że nie miał na sobie munduru. E- Nikogo nie uderzyłem - zapewnił.
- Nieważne, kto trzyma pałkę. Pan tam był, więc pan nas pobił.
- Przekroczyliście przepisy dotyczące demonstracji - bronił się Wallander, czując jak nieprzekonująco brzmią jego słowa.
- Cholernie nie cierpię policjantów - rzuciła. - Miałam zamiar napić się tu kawy. Ale poszukam innego miejsca.

Po tych słowach wyszła. Kelnerka za barem spojrzała z wyrzutem na Wallandera.

Jak gdyby przez niego straciła gościa.

Wallander zapłacił i opuścił lokal, zostawiając niedojedzoną kanapkę. Spotkanie z dziewczyną wyprowadziło go z równowagi. Wydało mu się nagle, że wszyscy się na niego gapią. Jakby miał na sobie mundur, a nie granatowe spodnie, jasną koszulę i zieloną kurtkę.

Muszę skończyć z patrolowaniem ulic, pomyślał. Chcę siedzieć w biurze, chodzić na zebrania grupy dochodzeniowej i jeździć na miejsca przestępstw. Żadnych demonstracji. Najwyżej będę brał zwolnienia lekarskie.

Przyspieszył kroku. Zastanawiał się, czy nie pojechać autobusem. Czuł jednak potrzebę ruchu. Poza tym nie chciał się natknąć na kogoś znajomego.

Przed wejściem do Parku Ludowego wpadł oczywiście prosto na ojca, taszczącego obraz zawinięty w brązowy papier. Wallander szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię i dostrzegł ojca zbyt późno, by zdążyć zejść mu z oczu. Ojciec nosił dziwną spiczastą czapkę, a spod grubego płaszcza wystawało coś w rodzaju sportowego dresu.

Na gołych stopach miał tenisówki.

Wallander jęknął w duchu. Wygląda jak włóczęga, pomyślał. Mógłby się przynajmniej porządnie ubrać.

Ojciec przystanął i postawił obraz na ziemi.

- Dlaczego nie nosisz munduru? - zapytał zamiast powitania. - Nie jesteś już policjantem?
- Mam wolny dzień.
- Myślałem, że policjanci zawsze są na służbie. Żeby nas chronić przed wszelkim złem.

Wallander z trudem opanował gniew.

- Dlaczego nosisz zimowy płaszcz? - odciął się. - Jest dwadzieścia stopni ciepła.
- To całkiem możliwe - odrzekł ojciec. - Ale jak się porządnie pocę, jestem zdrów jak ryba. Radzę ci robić to samo.
- Nie będę chodził latem w zimowym płaszczu.
- To będziesz chory.

- Przecież ja nigdy nie choruję.
- Jeszcze nie. Ale zobaczysz później.
- Widziałeś się w lustrze?
- Nie tracę czasu na przeglądanie się w lustrze.
- Nie możesz przecież w czerwcu nosić zimowej czapki.
- Może chcesz mi ją ściągnąć? Oskarżę cię o pobicie. Przypuszczam zresztą, że brałeś udział w pałowaniu demonstrantów.

Więc on też, pomyślał Wallander. Nie do wiary. On, który nigdy nie interesował się polityką. Nieraz próbowałem z nim dyskutować na ten temat.

Ale Kurt się mylił.

- Każdy przyzwoity człowiek musi protestować przeciwko tej wojnie - rzekł stanowczo ojciec.
- Każdy przyzwoity człowiek musi wykonywać swoją pracę - odparł Wallander z wymuszonym spokojem.
- Pamiętasz, co ci mówiłem? Nie powinieneś być zostać policjantem. Ale nie chciałeś mnie słuchać. Patrz, w co się wpakowałeś. W bicie dzieci kijami po głowie.
- W życiu nie uderzyłem żadnego cholernego człowieka - odrzekł Wallander ze złością. - Poza tym nie mamy kijów, tylko pałki. Dokąd się wybierasz z tym obra-zem?
- Wymieniam go na nawilżacz powietrza.
- Po co ci nawilżacz?
- Żeby go wymienić na nowy materac. Ten, który mam, do niczego się nie nadaje.

Bolą mnie od niego plecy.

Wallander wiedział, że ojciec często wdaje się w najdziwniejsze, piętrowe trans-akcje, aby zdobyć towar, którego potrzebuje.

- Chcesz, żebym ci pomógł? - zapytał Wallander.
- Nie potrzebuję policyjnej ochrony. Ale mógłbyś wpaść któregoś wieczoru i po-grać ze mną w karty.
- Wpadnę - obiecał Wallander. - Jak tylko będę miał czas.

Gra w karty, pomyślał. Ostatnia więź, jaka jeszcze nas łączy.

Ojciec podniósł obraz.

- Dlaczego ja nie mam wnuków? - zapytał na odchodnym.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Wallander patrzył za nim. Rad był, że ojciec przeprowadza się do Osterlen. Nie będzie się musiał obawiać, że się przypadkiem na niego natknie.

Kurt mieszkał w starym domu w Rosengard. Cała dzielnica była nieustannie zagrożona

rozbiórką. On jednak dobrze się tam czuł, chociaż Mona mu zapowiedziała, że kiedy się pobiorą, będą musieli zamieszkać w innej okolicy. Było to jego pierwsze własne mieszkanie. Składało się z pokoju, kuchni i ciasnej łazienki. Meble kupował na aukcjach i w sklepikach z różnościami. Afisze, które umieścił na ścianach, przedstawiały kwiaty lub egzotyczne wyspy. Ponieważ od czasu do czasu odwiedzał go ojciec, Wallander z poczucia obowiązku powiesił też na ścianie jeden z jego pejzaży. Wybrał krajobraz bez głuszca.

Najważniejszy jednak był adapter. Wallander nie miał dużo płyt, a te, które miał, zawierały niemal wyłącznie muzykę operową. Za każdym razem, gdy przyjmował w domu kolegów z pracy, dziwili się, że słucha takiej muzyki. Wobec tego zakupił kilka innych płyt, które mógł nastawiać przy gościach. Z niezrozumiałych dla niego powodów wielu policjantów zachwycało się Royem Orbisonem.

Tuż po pierwszej zjadł obiad, wypił kawę i z grubsza posprzątał mieszkanie, słuchając nagrania Jussiego Bjorlinga. Była to pierwsza płyta, jaką kupił, i mimo że miała mnóstwo rys, często myślał, że w razie pożaru domu ją najpierw będzie ratował.

Nastawił płytę po raz drugi i po chwili usłyszał walenie w sufit. Ściszył muzykę.

W domu były cienkie stropy. Piętro wyżej mieszkała kobieta, niegdyś właścicielka kwiaciarni. Nazywała się Linnea Almqvist. Kiedy muzyka jej przeszkadzała, waliła w sufit. A on posłusznie ściszał dźwięk. Położył się na łóżku. W otwartym oknie falowała firanka, którą powiesiła Mona. Czuł się zmęczony i zarazem rozleniwiony. Należał mu się odpoczynek. Zabrał się do przeglądania numeru „Lektyr”². Musi go dobrze schować, gdy przyjdzie Mona. Po chwili pismo zsunęło się z łóżka na podłogę. Wallander zasnął.

Ze snu wyrwał go łoskot. Nie umiał powiedzieć, skąd dochodzi. Wstał i poszedł do kuchni sprawdzić, czy coś nie spadło na podłogę. Wszystko było na swoim miejscu. Wrócił do pokoju i wyjrzał przez okno. Podwórko między domami było opustoszałe. Samotny niebieski kombinezon lekko powiewał na sznurze do rozwieszania bieleliny. Wallander wrócił do łóżka. Hałas wyrwał go ze snu, w którym znalazła się dziewczyna z kawiarni. Ale sen był niewyraźny i poplątany.

Wstał i spojrzał na zegarek. Za kwadrans czwarta. Spał ponad dwie godziny.

Usiadł przy kuchennym stole i sporządził listę zakupów. Mona obiecała przywieźć z Kopenhagi alkohol. Włożył kartkę do kieszeni i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Chwilę stał w ciemności. Drzwi od mieszkania sąsiada były uchylone. Zdziwiło go to, gdyż mieszkańcy tam mężczyzna był bardzo bojaźliwy i całkiem niedawno, w maju, kazał założyć w drzwiach dodatkowy zamek. Wallander wahał się chwilę, w końcu jednak postanowił zastukać do drzwi. Sąsiad, Artur Halen, emerytowany marynarz, mieszkał sam. Witali się, mijając na schodach, czasami zamieniali kilka grzeczno-

ściowych słów, i to wszystko. Wallander nigdy nie widział ani nie słyszał, żeby do Halena ktokolwiek przychodził. Rano słuchał radia, wieczorem włączał telewizor.

Lecz o dziesiątej zawsze zapadała u niego cisza. Kurt nieraz się zastanawiał, czy są-

siad słyszy przez ścianę nocne namiętne odgłosy damskich wizyt w jego mieszkaniu.

2 Magazyn dla młodych mężczyzn (przyp. tłum.).

Rzecz jasna nigdy go o to nie zapytał.

Zastukał jeszcze raz. Nikt nie odpowiadał. Pchnął drzwi i zawołał. Cisza. Niepewnie wszedł do holu. Wewnątrz panował zaduch, cierpkawy zapach starego człowieka.

Wallander ponownie zawołał.

Widocznie zapomniał zamknąć drzwi, wychodząc z domu, pomyślał. W końcu ma koło siedemdziesiątki. Ma prawo być roztargniony.

Zajrzał do kuchni. Na ceratowym obrusie, obok filiżanki do kawy, zobaczył zmięty kupon zakładów sportowych. Uchylił kotarę prowadzącą do pokoju i stanął jak wryty. Halen leżał na podłodze. Biała koszula była zalana krwią. Obok jego dłoni leżał rewolwer.

Huk, który usłyszałem, pomyślał Wallander. To był strzał.

Zbierało mu się na mdłości. Widywał już martwych ludzi. Topielców lub wisielców. Ludzi śmiertelnie poparzonych lub całkowicie zmasakrowanych w wypadkach drogowych. Wciąż jednak nie mógł się przyzwyczaić do tego widoku.

Rozejrzał się po pokoju. Mieszkanie Halena okazało się lustrzanym odbiciem jego własnego. Skąpo umeblowane. Bez jednego kwiatka w pokoju, bez żadnych ozdób.

Łóżko było niezaścielone.

Przyglądał się jeszcze przez chwilę zwłokom. Halen musiał strzelić sobie w pierś.

Już nie żył. Wallander nie potrzebował nawet sprawdzać pulsu.

Wrócił szybko do siebie i zatelefonował na policję. Przedstawił się i opisał, co za-szło. Potem wyszedł na ulicę i czekał na przyjazd radiowozu.

Policja i pogotowie zjawiły się niemal równocześnie. Wallander kiwnął głową na widok wysiadających ludzi. Same znajome twarze.

- Co takiego się stało? - zapytał jeden z policjantów. Nazywał się Sven Svensson, pochodził z Landskrony i koledzy mówili na niego Kolec od czasu, gdy w pogoni za złodziejem nadział się na kolczasty krzak i kolce wbiły mu się w brzuch.

- Mój sąsiad - odpowiedział Wallander. - Zastrzelił się.

- Hemberg jest w drodze - powiedział Kolec. - Muszą na to spojrzeć kryminalni.

Wallander skinął głową. Wiedział, że śmierć w domu, choćby wyglądała najbardziej naturalnie na wiecie, zawsze pociąga za sobą policyjne dochodzenie.

O Hembergu sporo mówiono. Nie zawsze dobrze, łatwo wpadał w gniew i bywał

wtedy nieprzyjemny dla kolegów. Z drugiej strony był mistrzem w swoim zawodzie i nikt nie miał odwagi mu się przeciwstawić. Wallander poczuł przypływ niepokoju.

Może czegoś nie dopatrywał? Hemberg natychmiast to wyłapie. A właśnie z nim, komi-

sarzem Hembergiem, będzie pracował, jak tylko załatwi sobie przeniesienie.

Kurt nadal czekał na ulicy. Podjechało czarne volvo i wysiadł Hemberg. Był sam.

Minęło kilka sekund, zanim rozpoznał Wallandera.

- Co ty tu robisz, do licha? - zapytał Hemberg.

- Mieszkam tu - odparł Wallander. - Mój sąsiad się zastrzelił i zawiadomiłem policję.

Hemberg uniósł brwi i spytał zaciekawiony:

- Widziałeś go?

- Jak to widziałem?

- Widziałeś, jak do siebie strzelał?

- Jasne, że nie.

- To skąd wiesz, że to samobójstwo?

- Broń leży obok ciała.

- I co z tego?

Wallander się zmieszał.

- Musisz się nauczyć stawiać właściwe pytania - powiedział Hemberg. - Jeśli chcesz pracować w kryminalnym. Mam już wystarczająco dużo takich, którzy nie potrafią myśleć. Nie potrzebuję jeszcze jednego.

Po chwili zmienił ton na bardziej przyjazny.

- Jeżeli mówisz, że to samobójstwo, to chyba tak jest. Gdzie to?

Wallander wskazał bramę. Weszli do środka.

Kurt uważnie obserwował sposób pracy Hemberga. Widział, jak siedząc w kucki opodal zwłok, rozmawiał z przybyłym lekarzem na temat miejsca wlotu kuli. Analizowali położenie broni, ciała, ręki. Następnie Hemberg obszedł mieszkanie naokoło, przeszukał szuflady komody, szafy i ubrania.

Zajął mu to około godziny. Kiedy skończył, skinął na Wallandera i razem weszli do kuchni.

- To z pewnością samobójstwo - stwierdził Hemberg, wyglądając z roztargnieniem leżący na stole kupon zakładów.

- Słyszałem huk - wyjaśnił Wallander. - To musiał być strzał.

- Nic więcej?

- Nie.

- Znałeś go?

- Tylko po sąsiedzku.

- Miał jakąś rodzinę?

- Nie wiem.

- Trzeba to sprawdzić.

Hemberg przez chwilę milczał.

- Nie ma żadnych rodzinnych zdjęć - podjął. - Ani na komodzie, ani na ścianach.

W szufladach pusto, jeśli nie liczyć dwóch książeczek żeglarskich. Jedyna interesująca rzecz, jaką znalazłem, to kolorowy chrząszcz w słoiku. Większy niż jelonek rogacz.

Wiesz, co to jest jelonek rogacz?

Wallander nie wiedział.

- Największy chrząszcz w Szwecji - wyjaśnił Hemberg. - Ale wkrótce zostanie wytępiony.

Odłożył na stół kupon zakładów.

- Nie zostawił żadnego listu - ciągnął. - Stary człowiek, który ma wszystkiego dosyć i żegna się z hukiem ze światem. Lekarz mówi, że dobrze celował. Prosto w serce.

Do kuchni wszedł policjant z portfelem w rękę, podał go Hembergowi, który wyjął z niego dowód osobisty

- Artur Halen - odczytał Hemberg. - Urodzony w 1898 roku. Cały wytatuowany.

Jak przystało na marynarza starej daty. Wiesz, jaką miał funkcję na statku?

- Był chyba maszynistą.

- W jednej książeczce żeglarza figuruje jako maszynista. W drugiej, wcześniejszej, jako marynarz. Zajmował się różnymi rzeczami. Kiedyś zakochał się w dziewczynie imieniem Łucja. Jej imię miał wytatuowane na prawym ramieniu i na piersi. Można powiedzieć, że wstrzelił się prosto w to piękne imię.

Hemberg włożył portfel i dowód do torby.

- Ostatnie słowo należy oczywiście do lekarza sądowego. My przeprowadzimy rutynowe badanie broni i kuli. Nie ulega wątpliwości, że to samobójstwo.

Raz jeszcze rzucił okiem na kupon zakładów.

- Artur Halen nie znał się na angielskim futbolu - zauważył. - Gdyby wytypował prawidłowo, zgarnąłby całą wygraną.

Hemberg wstał. Sanitariusze wynosili ciało. Ostrożnie manewrowali przykrytymi noszami w ciasnym holu.

- To się zdarza coraz częściej - powiedział zamyślony Hemberg. - Starzy ludzie odbierają sobie życie. Ale rzadko do siebie strzelają. Szczególnie z pistoletu.

Nagle utkwiał baczne spojrzenie w Wallanderze.

- Ciebie to również zdziwiło?

- Co takiego? - zapytał zaskoczony Wallander.

- Że Halen miał pistolet. Przeszukaliśmy komodę i nie znaleźliśmy pozwolenia na broń.

- Pewnie gdzieś kupił, jak jeszcze pływał na statku.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Pewnie tak.

Wyszli na ulicę.

- Pomyślałem, że klucz zostawimy u ciebie - powiedział Hemberg. - Ludzie z ekipy podrzucą ci go, jak skończą. Dopilnuj, żeby nikt niepowołany tam nie wchodził, dopóki nie ustalimy z całą pewnością, że to samobójstwo.

Wallander wszedł do domu. Na schodach spotkał Linneę Almqvist, która szła wyrzucić śmieci.

- Co to za bieranina? - zapytała srogo.

- Niestety zdarzył się śmiertelny wypadek. Halen nie żyje.

Wiadomość wyraźnie ją poruszyła.

- Musiał być bardzo samotny - rzekła powoli. - Parę razy chciałam go zaprosić na kawę. Zawsze odpowiadał, że nie ma czasu. Ale czasu mu chyba nie brakowało?

- Prawie go nie znałem - odparł Wallander.

- To serce?

Wallander skinął głową.

- Tak - powiedział. - Serce.

- Miejmy nadzieję, że nie wprowadzą się na jego miejsce jacyś rozwyrzeni młodzi ludzie - rzuciła na odchodnym.

Wallander wrócił do mieszkania Halena. Teraz, gdy usunięto już zwłoki, było mu łatwiej tam wytrzymać. Technik z kryminalnego właśnie pakował torbę. Plamy krwi na wykładzinie z linoleum ściemniały. Kolec stał i dłubał w paznokciach.

- Hemberg powiedział, żebym się zajął kluczami - wyjaśnił Wallander.

Kolec wskazał pęk kluczy na komodzie.

- Ciekawe, kto jest właścicielem tego domu - rzekł. - Moja dziewczyna szuka mieszkania.

- Strasznie tu cienkie ściany - ostrzegł Wallander. - Słysząc sąsiadów.

- Nie słyszałeś o nowych, rewelacyjnych wodnych materacach? - zapytał Kolec. -

W ogóle nie skrzypią.

Wallander zamknął drzwi do mieszkania Halena dopiero kwadrans po szóstej.

Miał jeszcze trochę czasu do spotkania z Moną. Wrócił do siebie i nastawił kawę. Zerwał się wiatr. Wallander zamknął okno i usiadł w kuchni. Nie zdążył zrobić zakupów, a teraz już wszystko zamknięte. W pobliżu nie było nocnego sklepu. Będzie musiał zaprosić Monę do restauracji. Otworzył portfel leżący na stole i sprawdził, czy starczy mu

pieniędzy. Mona lubiła jadać na mieście. On uważał, że to wyrzucanie pieniędzy.

Imbryk do kawy zapiszczał. Wallander nalał kawę do filiżanki i wrzucił trzy kostki cukru. Czekał, aż wystygnie.

Poczuł ukłucie niepokoju. Nie wiedział dlaczego. Uczucie niepokoju wzrastało.

Nie rozumiał, skąd przyszło, ale czuł, że ma jakiś związek z Halenem. Przebiegł w myślach ostatnie wydarzenia. Łoskot, który zerwał go na nogi, uchylone drzwi mieszkania, martwe ciało w pokoju. Człowiek odebrał sobie życie, człowiek, który przypadkiem był jego sąsiadem.

A jednak coś tu się nie zgadzało. Wallander poszedł do pokoju i położył się na łóżku. Tropił w pamięci zasłyszany hałas. Czy usłyszał wtedy coś jeszcze?

Przedtem lub potem? Czy jakieś dźwięki przedarły się przez jego sen? Bezskutecznie nasłuchiwał. Mimo to był pewien, że coś mu umknęło. W dalszym ciągu przeszukiwał myśli. Ale napotykał tylko ciszę. Podniósł się z łóżka i wszedł do kuchni.

Kawa już ostygła.

Coś sobie uroiłem, pomyślał. Widziałem wszystko na własne oczy, tak samo jak Hemberg i wszyscy inni. Samotny stary człowiek, który miał wszystkiego dosyć.

Wallander miał wrażenie, że widział coś, czego znaczenia nie dostrzegł.

Jednocześnie uświadomił sobie, że ta myśl go nęci. Gdyby tak potrafił wychwycić coś, co uszło uwadze Hemberga. Zwiększyłoby to jego szanse szybkiego awansu do sekcji kryminalnej.

Spojrzał na zegarek. Wciąż jeszcze pozostawało sporo czasu do spotkania z Moną na terminalu promowym. Odstawił filiżankę do zlewu, wziął klucze i poszedł do mieszkania Halena. Wszystko wyglądało jak za pierwszym razem, z tą różnicą, że teraz już nie było zwłok. Pokój się nie zmienił. Wallander uważnie się rozejrzał. Jak to się robi?, myślał. Jak dostrzec to, czego się nie widzi?

Był przekonany, że to coś istnieje. Tylko że on tego nie dostrzega.

Wszedł do kuchni i usiadł na krześle, na którym przedtem siedział Hemberg. Miał przed sobą kupon zakładów. Niewiele wiedział o angielskiej piłce. Tak naprawdę to nic nie wiedział o futbolu. Zdarzało mu się kupować los na loterię pieniężną. Innych nie kupował.

Kupon został obstawiony na najbliższą sobotę. Halen wpisał na nim swoje imię i nazwisko.

Wallander wrócił do pokoju i przystanął przy oknie. Stąd miał inny kąt widzenia, jego wzrok padł na łóżko. Halen był ubrany, kiedy do siebie strzelał. Lecz łóżko zostawił niezaścielone. Mimo że poza tym wszędzie panował pedantyczny porządek.

Dlaczego nie pościelił łóżka?, pomyślał Wallander. Nie mógł chyba spać w ubraniu, a potem wstać i się zastrzelić. I czemu na stole leży wypełniony kupon zakładów?

Coś się nie zgadzało. Ale to jeszcze niewiele znaczyło. Halen mógł podjąć decyzję, żeby ze sobą skończyć, pod wpływem nagłego impulsu. W tej sytuacji ścielenie łóżka mogło

mu się wydawać czymś absurdalnym.

Wallander usiadł w starym, wysłużonym fotelu, jedynym, jaki był w pokoju. Coś sobie uroiłem, powtórzył w myślach. Lekarz sądowy potwierdzi samobójstwo, eksper-tyza techniczna ustali, że kula pochodzi z broni Halena, który własnoręcznie oddał do siebie strzał.

Postanowił opuścić mieszkanie. Powinien się umyć i przebrać, zanim pojedzie odebrać Monę. Coś go jednak powstrzymało. Podeszedł do komody i zaczął otwierać szuflady. Od razu wpadły mu w ręce obie książeczki żeglarskie. Artur Halen był

za młodu przystojnym mężczyzną o jasnych włosach i szerokim uśmiechu. Wallanderowi trudno było sobie wyobrazić, że zdjęcie przedstawia tego samego człowieka, któ-

ry cicho i spokojnie dożywał swoich dni w Rosengard. A jeszcze trudniej, że mężczyzna ze zdjęcia pewnego dnia odbierze sobie życie. Wiedział, że nie ma sensu tak my-śleć. Samobójca to nie jest ktoś z góry zaprogramowany.

Znalazł kolorowego chrząszcza i podeszedł z nim do okna. Na spodzie pudełeczka widniał, jak mu się zdawało, napis „Brazylia”. Pamiątka zakupiona podczas jednej z podróży. Szperał dalej. Klucze, monety z różnych krajów, nic interesującego. Pod zniszczonym i naddartym papierem, którym wyłożona była najniższa szuflada, leżała brązowa koperta. Znalazł w niej stare ślubne zdjęcie. Na odwrocie nazwa zakładu fo-tograficznego i data: 15 maja 1894. Zakład znajdował się w Harnosand. I jeszcze podpis: „Manda i ja w dniu ślubu”. Rodzice, domyślił się Wallander. Cztery lata później urodził się syn.

Skończył przeszukiwać komodę i podeszedł do półki z książkami. Ku swojemu zdziwieniu ujrzał na niej liczne książki po niemiecku. Widać było, że często zdejmowano je z półki i czytano. Stało tam jeszcze parę tomów Vilhelma Moberga, hiszpań-

ska książka kucharska i kilka numerów czasopism dla modelarzy. Wallander pokręcił głową ze zdziwieniem. Obraz Halena był bardziej skomplikowany niż przypuszczał.

Odszedł od półki i zajrzał pod łóżko. Nic. Otworzył szafę. Starannie wiszące ubrania, trzy pary wyczyszczonych butów. Gdyby nie to niezaścielone łóżko, pomyślał znowu.

Psuje wszystko.

Zamykał szafę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Wallander drgnął. Odczekał

chwilę. Dzwonek zadzwonił po raz drugi. Kurt miał uczucie, że wtargnął na teren ob-jęty zakazem wstępu. Odczekał jeszcze chwilę. Lecz kiedy dzwonek odezwał się po raz trzeci, poszedł otworzyć.

W drzwiach stał mężczyzna w szarym płaszczu. Zaskoczony spojrzał na Wallandera.

- Czyżbym pomylił mieszkania? Ja do pana Halena.

Wallander usiłował przybrać odpowiednio formalny ton.

- Mogę spytać, kim pan jest? - odezwał się ostro.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- A pan? - zapytał.

- Jestem z policji. Asystent kryminalny Kurt Wallander - przedstawił się. - Może mi pan uprzejmie wyjaśnić, kim pan jest i czego pan tu szuka?

- Sprzedaję encyklopedię - wyjaśnił potulnie mężczyzna. - Przyszedłem tu w ubiegłym tygodniu i pokazałem ją Halenowi. Prosił mnie, żebym wrócił dzisiaj. Wy-słał już zamówienie i pierwszą wpłatę. Przyniosłem mu pierwszy tom encyklopedii i dodatkową książkę - podarunek dla każdego nowego klienta.

Wyjął z teczki dwie książki, jakby na dowód, że mówi prawdę.

Wallander słuchał z rosnącym zdumieniem. Powróciło uczucie, że coś jest nie w porządku. Odsunął się na bok i gestem dłoni zaprosił mężczyznę do środka.

- Czy coś się stało? - zapytał przybysz.

Wallander bez słowa wprowadził go do kuchni i wskazał mu krzesło przy stole.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu ma przekazać wiadomość o czyjejs śmierci. Zawsze się tego bał. Pocieszał się, że w końcu człowiek naprzeciwno nie jest krewnym zmarłego, lecz tylko sprzedawcą książek.

- Artur Halen nie żyje - oznajmił.

Mężczyzna za stołem nie zrozumiał.

- Przecież rozmawiałem z nim przed południem.

- Myślałem, że mówił pan o zeszłym tygodniu.

- Dzwoniłem dziś rano, żeby zapytać, czy możemy się umówić na wieczór.

- I co powiedział?

- Zgodził się. Inaczej bym tu nie przyszedł. Nie jestem natrętny. Ludzie opowiadają czasem dziwne rzeczy o domokrażnych sprzedawcach książek.

Wallander nie wątpił, że mężczyzna mówi prawdę.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku - powiedział.

- Co tu właściwie zaszło? - przerwał mężczyzna.

- Artur Halen nie żyje - odparł Wallander. - Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Musiało się przecież coś stać, jeżeli sprawą zajęła się policja. Czy ktoś go przejechał?

- Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć - powtórzył Wallander. Sam nie wiedział, czemu wprowadza tak tajemniczy nastrój.

Poprosił mężczyznę, aby raz jeszcze opowiedział całą historię.

- Nazywam się Emil Holmberg - zaczął sprzedawca. - Właściwie jestem nauczycielem biologii w gimnazjum. Ale sprzedaję encyklopedię, żeby zebrać pieniądze na podróż na Borneo.

- Borneo?

- Interesuję się roślinnością tropikalną.

Wallander dał mu znak, żeby mówił dalej.

- W ubiegłym tygodniu krążyłem po okolicy i dzwoniłem do różnych drzwi. Artur Halen zaprosił mnie do mieszkania. Usiedliśmy w kuchni. Opisałem mu encyklopedię, podałem cenę i wręczyłem próbny egzemplarz okazowy. W ciągu niecałej półgodziny podpisał umowę. Dziś do niego zadzwoniłem i umówiliśmy się na wieczór.

- Jaki to był dzień tygodnia?

- Wtorek. Między czwartą a pół do szóstej.

Wallander pamiętał, że w tym czasie był na służbie. Nie chciał się jednak przyznać, że mieszka w tym samym domu. Tym bardziej że się przedstawił jako pracownik sekcji kryminalnej.

- Ze wszystkich mieszkańców tylko Halen wykazał zainteresowanie encyklopedią.

Kobieta z wyższego piętra gderała, że chodzę i niepokoję ludzi. To się rzadko zdarza.

O ile pamiętam, to obok nikt nie otworzył.

- Mówił pan, że Halen wpłacił pierwszą ratę?

Mężczyzna wyjął pokwitowanie z teczki z książkami i pokazał je Wallanderowi.

Miało datę z ubiegłego piątku.

Wallander się zastanawiał.

- Jak długo Halen miał spłacać encyklopedię?

- Dwa lata. Aż spłaci wszystkie dwadzieścia tomów.

Coś tu nie gra, pomyślał Wallander. Nic się nie zgadza. Człowiek, który zamierza popełnić samobójstwo, nie podpisuje umowy na dwa lata.

- Jakie wrażenie zrobił na panu Halen? - zapytał.

- Nie bardzo rozumiem pytanie.

- Jak się zachowywał? Spokojnie? Był w dobrym nastroju? Czy może przygnębiony?

- Wiele nie mówił. Ale naprawdę zainteresował się encyklopedią. Jestem tego pewien.

Wallander nie miał w tej chwili więcej pytań. Na oknie w kuchni leżał długopis.

Sięgnął do kieszeni po kawałek papieru. Wyciągnął listę zakupów. Poprosił Holmerga, żeby zapisał swój numer telefonu na odwrocie.

- Wątpię, żeby ktoś do pana dzwonił - rzekł. - Ale wolę na wszelki wypadek mieć numer.

- Halen sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego człowieka - powiedział Holmberg. -

Co się właściwie wydarzyło? I co będzie z umową?

- Jeśli nie miał rodziny, która przejmie jego zobowiązanie, ma pan słabe widoki na pieniądze. Mogę pana zapewnić, że Artur Halen nie żyje.

- I nie może pan powiedzieć, co się stało?

- Niestety nie.

- To bardzo przykre.

Wallander wstał na znak, że rozmowa dobiegła końca. Holmberg wciąż stał z teczką w ręku.

- Może pan sierżant dałby się namówić na encyklopedię?

- Aspirant - sprostował Wallander. - A encyklopedii nie potrzebuję. W każdym razie nie w tej chwili.

Wyszedł z Holmbergiem na ulicę. Kiedy się upewnił, że tamten zniknął za rogiem na swoim rowerze, wrócił do mieszkania Halena. Usiadł przy stole w kuchni i raz jeszcze przebiegł w myślach wszystko, czego dowiedział się od nauczyciela, jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że Halen postanowił odebrać sobie życie nagle. Chyba że był złośliwy i chciał zrobić paskudny kawał Bogu ducha winnemu sprzedawcy książek.

Z daleka usłyszał sygnał telefonu. Za późno się zorientował, że dzwoni jego własny aparat. Pobiegł do siebie. Telefonowała Mona.

- Myślałam, że po mnie przyjedziesz - powiedziała zagniewana.

Wallander spojrzął na zegarek i zaklął cicho. Miał być na terminalu już kwadrans temu.

- Byłem zajęty dochodzeniem - usprawiedliwiał się.

- Miałeś przecież wolny dzień.

- Niestety, okazało się, że jestem potrzebny.

- Nie ma już innych policjantów? Czy tak będzie zawsze?

- To była wyjątkowa sytuacja.

- Zrobiłeś zakupy?

- Nie zdążyłem.

W jej głosie słyszał rozczarowanie.

- Jadę po ciebie - powiedział. - Postaram się złapać taksówkę. Zjemy w restauracji.

- Czy aby na pewno? Może znowu będziesz musiał jechać do pracy.

- Postaram się być jak najszybciej. Przynajmniej.

- Czekam na ławce przed terminalem. Ale tylko dwadzieścia minut, potem jadę do domu.

Wallander odłożył słuchawkę i zadzwonił po taksówkę. Numer był zajęty. Minęło dziesięć minut, zanim udało mu się złożyć zamówienie. Przez ten czas zamknął

mieszkanie Halena i zmienił koszulę.

Dotarł na terminal promowy po trzydziestu trzech minutach. Mony już nie było.

Mieszkała na Sodra Forstadsgatan. Wallander poszedł zadzwonić z automatu przy placu Gustawa Adolfa. Nikt nie odbierał. Po pięciu minutach spróbował jeszcze raz. Mo-na już dojechała do domu.

- Jak mówię dwadzieścia minut, to nie dłużej - oznajmiła.

- Nie było taksówek. A w tej przeklętej centrali wciąż zajęte.

- Zresztą i tak jestem zmęczona - powiedziała. - Spotkamy się innym razem.

Kurt próbował nalegać, ale Mona nie ustąpiła. Rozmowa zakończyła się kłótnią i Mona odłożyła słuchawkę. Wallander cisnął słuchawkę na widełki. Kilku patrolujących policjantów obrzuciło go niechętnym spojrzeniem. Chyba go nie rozpoznali.

Wallander ruszył w kierunku budki z kiełbaskami położonej przy rynku. Potem jadł na ławce i z roztargnieniem przyglądał się mewom, toczącym bój o kęs chleba.

Rzadko się z Moną kłócili, ale po każdej sprzeczce odczuwał niepokój. W głębi duszy wiedział, że następnego dnia wszystko znów będzie w porządku. Ale uczucie brało górę nad rozsądkiem. Niepokój nie mijał.

Wrócił do domu, usiadł przy stole w kuchni i starał się uporządkować wydarzenia, które zaszły w mieszkaniu sąsiada. Nie mógł ruszyć z miejsca. Zresztą czuł się niezbyt pewnie. Nie bardzo wiedział, jak dokonać oględzin i analizy miejsca przestępstwa.

Uprzytomnił sobie, że mimo lat spędzonych w Wyższej Szkole Policji brak mu podstawowej wiedzy. Po upływie pół godziny cisnął ze złością długopis na stół. Wszystko sobie wmówił. Halen się zastrzelił. Kupon zakładów i sprzedawca książek nic tu nie zmieniają. Powinien raczej żałować, że nie nawiązał bliższego kontaktu z sąsiadem.

Może on nie był w stanie dłużej znosić samotności?

Wallander nerwowo krążył po mieszkaniu. Mona jest smutna. I to z jego winy.

Ulicą przejeżdżał samochód. Z otwartego okna auta dochodziła melodia *The House of the Rising Sun*, niezwykle popularna kilka lat temu. Jak się nazywał ten zespół?

Kinks? Nie pamiętał. Przyszło mu do głowy, że o tej porze zwykle słyszał przez ścianę stłumiony dźwięk telewizora. Teraz w mieszkaniu Halena panowała cisza.

Wallander usiadł na kanapie i wyciągnął nogi na stole. Myślał o ojcu. Zimowy płaszcz, spiczasta czapka, gołe stopy. Gdyby nie późna pora, mógłby zagrać z nim w karty. Ale czuł się znużony, mimo że jeszcze nie było jedenastej. Włączył telewizor.

Jak zwykle trafił na jakąś debatę. Trwało chwilę, zanim się zorientował, że uczestnicy dyskutują o zaletach i wadach nadchodzącej rzeczywistości. O świecie komputerów.

Wyłączył telewizję i siedział jeszcze przez chwilę na kanapie, po czym ziewając, rozebrał się i poszedł do łóżka. Wkrótce zasnął.

Obudził się nagle po kilku godzinach. Zupełnie przytomny nasłuchiwał w mroku letniej nocy. Był pewien, że coś go wyrwało ze snu. Być może ulicą przejeżdżał samochód z uszkodzoną rurą wydechową? W uchylonym oknie leniwie falowała firanka. Zamknął oczy.

Po chwili słyszał już wyraźnie. Przez ścianę, tuż przy głowie.

Ktoś chodził po mieszkaniu Halena. Wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Coś zadźwięczało, jakby przestawiano jakiś przedmiot. Zaraz potem szuranie. Odgłos przesuwanego mebla. Wallander spojrział na zegar na nocnym stoliku. Za kwadrans trzecia. Przyłożył ucho do ściany, już myślał, że mu się zdawało, kiedy znów usłyszał

dźwięk. Ktoś z pewnością się tam kręcił.

Usiadł na łóżku, zastanawiając się, jak postąpić. Zadzwoić po kolegów z pracy?

Jeżeli Halen nie miał rodziny, to kto i w jakim celu zjawił się w jego mieszkaniu? Nie znał jednak sytuacji rodzinnej Halena. Mógł przecież dać klucze komuś, o kim policja nic nie wiedziała.

Wallander wstał z łóżka, wciągnął spodnie i koszulę. Wyszedł bosy na klatkę schodową. Drzwi do mieszkania Halena były zamknięte. Trzymał w ręku klucze i nie mógł się zdecydować. Najrozsądniej byłoby zadzwonić do drzwi. Hemberg, dając mu klucze od mieszkania, w pewnym sensie uczynił go za nie odpowiedzialnym. Nacisnął

dzwonek i czekał. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Zadzwoił jeszcze raz.

Żadnej reakcji. W tej samej chwili uświadomił sobie, że z mieszkania można bez trudu wydostać się przez okno.

Dzieliło je od ziemi niespełna dwa metry. Zaklął i wybiegł na ulicę. Mieszkanie sąsiada znajdowało się w narożniku kamienicy. Wallander wybiegł za róg na pustą ulicę. Okno w pokoju Halena było otwarte na oścież.

Wallander wszedł do budynku i otworzył drzwi do mieszkania Halena. Zanim znalazł się w środku, zawołał. Nikt nie odpowiadał. Zapalił światło w holu i ruszył do pokoju. Szuflady komody były otwarte. Wallander rozglądał się dokoła. Ktoś wyraźnie czegoś szukał. Wallander sprawdził w oknie, czy widać ślady włamania. Nic nie zauważył. Dwie rzeczy były jasne. Osoba, która weszła do mieszkania Halena, miała przy sobie klucze. I nie chciała zostać przyłapana.

Wallander zapalił światło, usiłując się zorientować, czy w mieszkaniu czegoś brakuje. Nie do końca ufał swojej pamięci. To, co znaleźli poprzednim razem, było na miejscu. Chrzaszcz z Brazylii, dwie książeczki żeglarskie i stare zdjęcie. Zdjęcie leża-

ło na podłodze bez koperty Wallander kucnął i spojrzał na kopertę. Ktoś wyjął z niej zdjęcie. Może tam czegoś szukał, pomyślał.

Wstał i rozglądał się dalej. Z łóżka zdarto pościel, szafa była otwarta, jeden z dwóch garniturów Halena wylądował na podłodze.

Ktoś tu czegoś szukał. Ciekawe czego? I ciekawe, czy znalazł, zanim zadzwoniłem do drzwi?

Przeszedł do kuchni. Szafki kuchenne były pootwierane. Na podłodze leżał garnek. Może obudził go, jak spadał? Właściwie, pomyślał, sprawa jest jasna. Gdyby ktoś znalazł to, czego szukał, opuściłby mieszkanie. I na pewno nie przez okno. Czyli to, czego szukał, wciąż się tu znajduje. O ile tu w ogóle było.

Wallander wrócił do pokoju i przyglądał się zaschniętej plamie krwi na podłodze.

Co tu się wydarzyło?, pytał sam siebie. Czy rzeczywiście mamy do czynienia z samobójstwem?

Nadal przeszukiwał mieszkanie. Przerwał dziesięć po czwartej, wrócił do siebie i położył się do łóżka.

Zanim zasnął, nastawił budzik na siódmą. Z samego rana musi porozmawiać z Hembergiem.

Następnego dnia Wallander biegł na przystanek autobusowy w potokach deszczu zalewających Malmo. W nocy spał niespokojnie i obudził się na długo przed dzwonkiem budzika. Myśl o tym, że jego bystrość zaimponuje Hembergowi, poniosła go w krainę fantazji, gdzie chodził w glorii wybitnie utalentowanego śledczego. Pod wpływem tej myśli postanowił zdecydowanie rozmówić się z Moną. Nie może się spodziewać, że policjant zawsze będzie punktualny.

Była za cztery siódma, kiedy zjawił się w komendzie. Słyszał kiedyś, że Hemberg bardzo wcześnie przychodzi do pracy, i rzeczywiście dowiedział się w recepcji, że Hemberg pracuje już od szóstej. Wallander udał się do sekcji, gdzie urzędowała policja kryminalna. Większość pokoi była jeszcze pusta. Poszedł prosto do biura Hemberga i zapukał do drzwi. Usłyszał głos inspektora i wszedł do środka. Hemberg siedział

na krześle dla odwiedzających i obcinał paznokcie. Ujrawszy Wallandera, zmarszczył czoło.

- Czyżbyśmy byli umówieni? Nie przypominam sobie.

- Nie. Ale chciałbym coś zaraportować.

Hemberg odłożył nożyczki do pojemnika z ołówkami i usiadł za biurkiem.

- Jeśli potrzebujesz więcej niż pięć minut, możesz usiąść.

Wallander, na stojąco, zdał relację z tego, co zaszło. Zaczął od sprzedawcy książek, potem przeszedł do dalszych wydarzeń. Nie umiał powiedzieć, czy wzbudził zainteresowanie Hemberga, bo jego twarz była bez wyrazu.

- To tyle - zakończył Wallander. - Pomyślałem, że powinienem jak najszybciej złożyć raport.

Hemberg dał mu znak, żeby usiadł. Sięgnął po notes i długopis, by zapisać nazwisko i telefon domokrażcy. Wallander zwrócił uwagę na jego notes. Hemberg nie używał luźnych kartek ani gotowych blankietów.

- Ta nocna wizyta jest co najmniej dziwna - powiedział. - Ale właściwie nic nie zmienia. Halen popełnił samobójstwo. Jestem o tym przekonany. Potwierdzi to obdukcja i badanie broni.

- Ciekawe, kto tam się kręcił po nocy.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Sam podsunąłeś możliwą odpowiedź. Ktoś, kto miał klucze i szukał czegoś, na czym mu zależało. Plotki szybko się rozchodzą. Ludzie zauważyli radiowozy i karetkę pogotowia. Już po kilku godzinach wielu z nich wiedziało o śmierci Halena.

- Jednak to dziwne, że ktoś wyskakuje przez okno.

Hemberg się uśmiechnął.

- Może wziął cię za włamywacza?

- Włamywacz, który dzwoni do drzwi?
- To znany sposób sprawdzania, czy ktoś jest w domu.
- O trzeciej nad ranem?

Hemberg rzucił długopis na biurko i odchylił się na krzesło.

- Nie wyglądasz na przekonanego - powiedział, nie ukrywając irytacji.

Wallander zreflektował się nagle, że posunął się za daleko i zaczął się wycofywać.

- Ależ tak - zapewnił. - To z pewnością samobójstwo.

- W porządku - rzekł Hemberg. - Sprawa wyjaśniona. Dobrze, że przyszedłeś złożyć raport. Poślę paru ludzi do mieszkania Halena, niech sprawdzą, jak tam wyglą-

da. Zaczekamy jeszcze na opinie lekarza i techników. A potem umieścimy Halena w segregatorze i zapomnimy o nim.

Hemberg wyciągnął rękę do telefonu, tym samym dając sygnał, że rozmowa dobiegła końca. Wallander wyszedł na korytarz. Czuł się jak ostatni idiota. Co właściwie sobie wyobrażał? Że wpadł na trop morderstwa? Poszedł do swojego pokoju z mocnym postanowieniem, że zrobi to, co poradził mu Hemberg. Zapomni o Haleniu. II jeszcze przez jakiś czas będzie przykładowie patrolował ulice.

Mona przyjechała do Rosengard tego samego wieczoru. Zjedli razem kolację i Wallander ani słowem nie napomknął o swoich wcześniejszych postanowieniach.

Przeprosił ją natomiast za swoje spóźnienie. Mona przyjęła przeprosiny i została u niego na noc. Zanim zasnęli, długo roztrząsali różne warianty wspólnego dwutygodniowego urlopu w lipcu. Nie mieli jeszcze pomysłu, jak go spędzić. Mona pracowała w salonie fryzjerskim i niewiele zarabiała. Jej marzeniem był własny zakład. Pensja Wallandera również nie była wygórowana. Zarabiał 1896 koron miesięcznie. Nie mieli samochodu i musieli dokładnie wyliczyć, czy wystarczy im na wakacje.

Wallander zaproponował wyjazd na północ kraju, gdzie wędrowaliby po górach.

Nigdy jeszcze nie był na północ od Sztokholmu. Natomiast Mona chciała jechać tam, gdzie można się kąpać. Rozważali, czy stać ich na podróż na Majorkę. Ale okazała się zbyt kosztowna. Wobec tego Mona zasugerowała wyjazd do Skagen w Danii. W dzieciństwie kilkakrotnie jeździła tam z rodzicami i zawsze dobrze wspominała to miejsce.

Sprawdziła nawet, że w Skagen jest sporo niedrogich pensjonatów, w których są jeszcze wolne pokoje. Zanim zasnęli, udało im się dojść do porozumienia. Stanęło na wyjeździe do Skagen. Mona miała nazajutrz zarezerwować pokój, a Wallander obiecał

sprawdzić rozkład jazdy pociągów z Kopenhagi.

Następnego dnia, 5 czerwca wieczorem, Mona pojechała odwiedzić swoich rodziców, do Staffanstorp. Wallander spędził kilka godzin, grając z ojcem w pokera. Tym razem ojciec był w dobrym humorze i nie narzekał na syna z powodu wyboru zawodu.

A kiedy na dodatek wygrał prawie pięćdziesiąt koron, z radości wyciągnął butelkę koniaku.

- Wybiorę się kiedyś do Włoch - oznajmił, kiedy stuknęli się kieliszkami. - I chciałbym jeszcze zobaczyć piramidy w Egipcie.

- Dlaczego?

Ojciec długo mu się przyglądał.

- To wyjątkowo głupie pytanie - odparł. - Wiadomo, że trzeba zobaczyć Rzym, zanim się umrze. I piramidy też. Każdy to rozumie.

- Jak myślisz, ilu Szwedów może sobie pozwolić na wyjazd do Egiptu?

Ojciec udawał, że nie słyszy pytania.

- Zresztą ja nie umrę - dodał. - Za to wyprowadzę się do Loderup.

- A co z domem?

- Już załatwione.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co znaczy „załatwione”?

- Dom kupiony i zapłacony. Wpis w księdze wieczystej: Svindala 12:24.

- Nawet go nie widziałem.

- Przecież to ja tam będę mieszkał, nie ty.

- Czy ty w ogóle tam pojechałeś?

- Widziałem wszystko na zdjęciu. To mi wystarczy. Nie odbywam niepotrzebnych podróży. Odrywają mnie od pracy.

Wallander jęknął w myślach. Był przekonany, że ojciec dał się oszukać. Tak samo jak dawał się oszukiwać podejrzanym typom w wielkich amerykańskich samocho-dach, gościom, którzy przez wszystkie lata kupowali od niego obrazy.

- A to dopiero nowina - odezwał się Wallander. - Można zapytać, kiedy zamierzasz się przeprowadzić?

- Meblowóz przyjeżdża w piątek.

- W tym tygodniu?

- No przecież słyszysz. Następnym razem będziemy grać w karty w skańskim błocie.

Wallander rozłożył ramiona.

- Kiedy chcesz się pakować? Masz tu potworny bałagan.

- Wiem, że brak ci czasu, więc poprosiłem o pomoc twoją siostrę.

- Czyli gdybym nie przyszedł dziś wieczorem, to następnym razem zastałbym puste mieszkanie?

- Zgadza się.

Wallander wyciągnął rękę z kieliszkiem po dolewkę. Ojciec napełnił mu go tylko do połowy.

- Nie wiem nawet, gdzie leży Loderup. Czy to bliżej nas, czy Ystad?

- Bliżej Simrishamn.

- Nie możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

- Już odpowiedziałem

Ojciec wstał i odstawił butelkę z koniakiem. Wskazał na karty.

- Zagramy jeszcze partyjkę?

- Nie mam już pieniędzy. Postaram się wpadać wieczorami, żeby pomóc ci przy pakowaniu. Ile zapłaciłeś za dom?

- Już nie pamiętam.

- Jak możesz nie pamiętać? Masz tyle pieniędzy?

- Nie. Ale pieniądze mnie nie interesują.

Wallander zrozumiał, że niczego się więcej nie dowie. Dochodziło wpół do jedenastej. Powinien wrócić do domu i położyć się spać. Jakoś trudno mu było rozstać się z miejscem, w którym dorastał. Kiedy się urodził, rodzice mieszkali w Klagshamn.

Ale stamtąd nie miał żadnych wspomnień.

- Kto tu się teraz wprowadzi? - zapytał.

- Słyszałem, że dom jest do rozbiórki.

- Niewiele cię to obchodzi, prawda? Jak długo tu właściwie mieszkałeś?

- Dziewiętnaście lat. O wiele za długo.

- Najwyraźniej nie jesteś sentymentalny. Zdajesz sobie sprawę, że spędziłem tu dzieciństwo?

- Dom jak dom - odparł ojciec. - Mam już dość miasta. Chcę mieszkać na wsi.

Tam będę mógł malować w spokoju i planować podróże do Egiptu i do Włoch.

Wallander przeszedł pieszo całą drogę z powrotem. Było pochmurno. Odczuwał niepokój na myśl, że ojciec ma się przeprowadzić, a dom, w którym dorastał, zostanie rozebrany.

Jestem sentymentalny, pomyślał. Może dlatego lubię operę? Ciekawe, czy można być dobrym policjantem, gdy jest się sentymentalnym?

Następnego dnia sprawdził godziny kursowania pociągów w związku z zaplanowanym urlopem. Pensjonat, w którym Mona zarezerwowała pokój, wyglądał sympatycznie. Resztę dnia spędził, patrolując centrum Malmo. Wydawało mu się, że wszędzie widzi dziewczynę, która kilka dni temu zwymyślała go w kawiarni. Marzył o dniu,

kiedy wreszcie zdejmie mundur. Gdziekolwiek się obrócił, napotykał niechętne lub lekceważące spojrzenia, przeważnie osób w jego wieku. Jego towarzyszem był gruby i ograniczony policjant nazwiskiem Svanlund, który nie przestawał mówić o tym, że w przyszłym roku, po przejściu na emeryturę, przeniesie się do rodzinnego gospodarstwa pod Hudiksvall. Wallander słuchał nieuważnie i od czasu do czasu mamrotał coś w odpowiedzi. Poza tym, że przegonili kilku pijaczków z placu zabaw dla dzieci, nie mieli nic do roboty. Wallandera zaczęły boleć stopy. Zdarzyło się to po raz pierwszy, mimo że w swojej policyjnej karierze spędził już niejedną noc na patrolowaniu ulic. Zastanawiał się, czy to nie dlatego że tak bardzo pragnie się przenieść do wydziału kryminalnego. Po powrocie do domu napełnił miskę ciepłą wodą i z uczuciem błogości zanurzył w niej stopy.

Przymknął oczy i zaczął rozmyślać o czekającym go urlopie. Nareszcie będą mogli z Moną spokojnie porozmawiać o przyszłości. Miał nadzieję, że wkrótce odwiesi do szafy mundur i znajdzie się na tym samym piętrze co Hemberg.

Przysnął na krześle. Okno w kuchni było uchylone. Ktoś chyba palił śmieci na dworze. Czuł słaby zapach dymu, być może płonących gałęzi. Słyszał lekki trzask.

Drgnął i otworzył oczy. Kto paliłby śmieci na podwórku? W okolicy nie było przecież żadnych willi.

Po chwili spostrzegł dym.

Przedostawał się z holu. Wallander wybiegł do drzwi wejściowych, przewracając po drodze miskę z wodą. Klatka schodowa była wypełniona dymem. Mimo to Wallander od razu się domyślił, gdzie się pali.

Pożar wybuchł w mieszkaniu Halena.

2

Wallander wspominał później, że miał wtedy rzadką okazję postąpić dokładnie według regulaminu. Zawrócił do mieszkania i zawiadomił straż pożarną. Potem wybiegł na klatkę schodową i pokonawszy pędem schody prowadzące do drzwi Linnei Almqvist, wyprowadził ją na ulicę. Z początku protestowała, ale Wallander trzymał ją mocno za ramię. Kiedy wyszli przed dom, zauważył głęboką ranę na swoim kolanie.

Potknął się o miskę i uderzył o kant stołu, kiedy wpadł do mieszkania zadzwonić po straż pożarną. Dopiero teraz spostrzegł, że rana krwawi.

Straż szybko ugasiła pożar. Dzięki temu, że Wallander wszczął alarm, gdy tylko poczuł zapach dymu, ogień nie zdążył się rozprzestrzenić. Kiedy zapytał później kierującego akcją strażaka o przyczynę pożaru, tamten nie chciał z nim rozmawiać. Zirykowany Wallander przyniósł z mieszkania policyjną odznakę. Szef strażaków, Faraker, był mężczyzną około sześćdziesiątki o czerwonej twarzy i potężnym głosem.

- Trzeba było powiedzieć, że jesteś policjantem.
- Mieszkam tutaj i sam zadzwoniłem po straż.

Wallander opowiedział o śmierci Halena.

- Stanowczo zbyt wiele ludzi umiera - stwierdził zdecydowanie Faraker.

Wallander nie bardzo wiedział, jak zareagować na ten zdumiewający komentarz.

- Chcę powiedzieć, że mieszkanie było puste - wyjaśnił.

- Wygląda na to, że zaczęło się palić w holu - rzekł Faraker. - Diabli wiedzą, czy ktoś nie podłożył ognia.

Wallander spojrział na niego zdziwiony.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Człowiek się z czasem uczy tego i owego - mówił Faraker i wydawał instrukcje strażakom. - Sam się przekonasz - ciągnął, nabijając fajkę.

- W przypadku podpalenia trzeba chyba zawiadomić kryminalnych? - spytał Wallander.

- Są już w drodze.

Wallander przyszedł z pomocą kolegom, którzy odpędzali ciekawskich.

- To już drugi pożar dzisiaj - powiedział policjant nazwiskiem Wennstrom. - Ra-no palił się skład drewna koło Limhamn.

Wallanderowi przemknęło przez głowę, że może to ojciec postanowił podpalić dom, skoro i tak się wyprowadza. Odgonił od siebie tę myśl.

Podjechał samochód. Ku swojemu zdziwieniu Wallander ujrzał wysiadającego Hemberga, który skinął na niego.

- Usłyszałem komunikat - wyjaśnił. - Właściwie miał jechać Lundin. Ale przyjechałem ja, bo skojarzyłem ten adres.

- Szef strażaków podejrzewa podpalenie.

Hemberg się skrzywił.

- Ludzie wymyślają niestworzone rzeczy - zauważył. - Znam Farakera blisko piętnaście lat. Dla niego nie ma znaczenia, czy pali się w kominie, czy w silniku samochodu. Wszystkie pożary uważa za podpalenia. Chodź ze mną, może się czegoś nauczysz.

Wallander poszedł za nim.

- Co o tym powiesz? - zapytał Hemberg Farakera.

- To podpalenie.

Faraker był pewny swego. Między tymi dwoma mężczyznami czuło się głęboką niechęć.

- Człowiek, który tu mieszkał, nie żyje. Kto miałby podłożyć ogień?

- Ty się zajmujesz wyjaśnianiem, ja tylko stwierdzam, że to podpalenie.

- Możemy wejść do środka?

Faraker zwrócił się z pytaniem do jednego ze strażaków. Pożar był opanowany, mieszkanie się wietrzyło. Weszli do środka. Hol w pobliżu drzwi wejściowych był

okopcony, ale ogień nie przedostał się przez zasłonę oddzielającą hol od pokoju. Faraker wskazał na otwór na listy w drzwiach. p- Tu się zaczęło - powiedział. - Najpierw się tliło, a potem zaczęło się palić. Nie ma tu przewodów elektrycznych ani nic samo-zapalnego.

Hemberg przykucnął przy drzwiach. Pociągnął nosem.

- Kto wie, czy przynajmniej raz nie masz racji - rzucił, wstając na nogi. - Czuć tu jakiś zapach. Może nafty.

- Gdyby to była benzyna, pożar wyglądałby inaczej.

- Ktoś coś wetknął przez otwór na listy?

- Na to wygląda.

Faraker trącił nogą resztki zetlałego chodnika.

- Chyba nie papier - powiedział. - Raczej kawałek materiału albo szmaty Hemberg pokręcił bezradnie głową.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli coś z tego rozumiem. Podkładać ogień w mieszkaniu osoby, która nie żyje?

- To twój problem - stwierdził jeszcze raz Faraker.

- Trzeba wezwać techników, niech na to popatrzą.

Na twarzy Hemberga malowało się z troskanie.

Spojrzał na Wallandera.

- Zaprosisz mnie na kawę?

Weszli do mieszkania Wallandera. Hemberg spojrział na przewróconą miskę i kałużę wody na podłodze.

- Próbowalesz gasić ogień?

- Nie, moczyłem nogi.

Hemberg przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Nogi?

- Czasami mnie bolą stopy.

- To znaczy, że masz nieodpowiednie buty - stwierdził Hemberg. - Patrolowałem ulice przeszło dziesięć lat i nigdy nie bolały mnie stopy.

Hemberg usiadł przy kuchennym stole, podczas gdy Wallander parzył kawę.

- Słyszałeś coś? - zagadnął Hemberg. - Może jak ktoś wchodził albo siedł po schodach?

- Nie.

Wallander wstydził się przyznać, że tym razem również spał.

- Słyszałybyś, gdyby tam ktoś chodził?

- Na ogół słyhać drzwi wejściowe - odparł wymijająco Wallander. - Powinienem słyszeć, jak ktoś wchodzi do budynku. Chyba że przytrzymuje drzwi ręką.

Wallander podał suche ciasteczka. Nie miał nic innego do kawy.

- Dzieją się tu dziwne rzeczy - rzekł Hemberg. - Najpierw Halen odbiera sobie życie.

Potem ktoś wchodzi w nocy do jego mieszkania. A teraz ten pożar.

- Może to nie było samobójstwo?

- Rozmawiałem dzisiaj z lekarzem sądowym - poinformował Hemberg. -

Wszystko wskazuje na samobójstwo doskonałe. Halen miał pewną rękę i prawidłowo celował. Prosto w serce. To zupełnie pewne. Lekarz jeszcze nie zakończył obdukcji, lecz nie będziemy się doszukiwać innej przyczyny śmierci, bo innej nie ma. Należy się raczej zastanowić, czego szukano w mieszkaniu. I dlaczego postanowiono je spalić.

To prawdopodobnie dzieło tej samej osoby.

Gestem dał znak Wallanderowi, żeby mu dołał kawy.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się nagle do Kurta. - Pokaż mi, czy potrafisz myśleć.

Wallander zupełnie się nie spodziewał, że Hemberg zapyta go o zdanie.

- Człowiek, który przyszedł w nocy, musiał czegoś szukać - zaczął. - Prawdopodobnie niczego nie znalazł.

- Dlatego że mu przeszkodziłeś? Dlatego że gdyby to znalazł, już by go tam nie było?

- No właśnie.

- Czego mógł szukać?

- Nie wiem.

- Dziś wieczorem ktoś próbował podpalić mieszkanie. Powiedzmy, że w grę wchodzi ta sama osoba. Co to oznacza?

Wallander się zastanawiał.

- Nie spiesz się - poradził Hemberg. - Dobry śledczy musi umieć myśleć systematycznie, co często znaczy powoli.

- Może nie chciał, żeby ktoś inny znalazł to, czego on szukał? E- Może - rzekł

Hemberg. - Dlaczego „może”?

- Pewnie jest jakieś inne wytłumaczenie.

- Na przykład?

Wallander gorączkowo szukał jakiejś odpowiedzi, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Nie wiem - przyznał. - Nie mam innego pomysłu. W każdym razie nie w tej chwili.

Hemberg sięgnął po ciastko.

- Ja też nie - powiedział. - Co może oznaczać, że klucz do sprawy ciągle tkwi w mieszkaniu, tylko nam nic udało się go odnaleźć. Gdyby skończyło się na nocnych odwiedzinach, postępowanie zostałoby zamknięte po zbadaniu broni i wydaniu opinii przez biegłego lekarza. Ale teraz, w związku z pożarem, musimy znów zająć się mieszkaniem.

- Czy Halen na pewno nie miał żadnych krewnych? - zapytał Wallander.

Hemberg odsunął filiżankę i wstał.

- Przyjdź do mnie rano, pokażę ci raport.

Wallander się zawahał.

- Nie wiem, czy będę miał czas. W planie jest operacja w miejskich parkach. Narkotyki.

- Porozmawiam z twoim szefem - przyrzekł Hemberg. - Załatwimy to.

Nazajutrz, 7 czerwca, Wallander od samego rana czytał zgromadzone przez Hemberga materiały dotyczące Halena. Niewiele się z nich dowiedział. Halen nie posiadał

żadnego majątku, ale nie miał też długów. Utrzymywał się z emerytury. Jego jedyna siostra zmarła w 1967 roku w Katrineholmie. Rodzice już wtedy nic żyli.

Wallander czytał raport w pokoju Hemberga, podczas gdy komisarz był na zebraniu. Wrócił tuż po wpół do dziewiątej.

- Znalazłeś coś? - zapytał.

- Jak człowiek może być aż tak samotny?

- Można się nad tym zastanawiać, ale to nam nic nie da. Jedźmy teraz do mieszkania.

Tego przedpołudnia technicy dokładnie przeczyszczyli mieszkanie Halena. Oględzinami kierował niski, chudy mężczyzna. Prawie się nie odzywał. Nazywał się Sjunnesson i dla pozostałych techników kryminalnych był chodzącą legendą.

- Jeśli tam cokolwiek jest, on to na pewno znajdzie - zapewnił Hemberg. - Zostań tu i ucz się.

Nagle dostał jakąś wiadomość i odszedł na bok.

- Jakiś facet powiesił się w garażu w Jagersro - poinformował. Po chwili Hemberg znowu zniknął, a gdy wrócił, był świeżo ostrzyżony.

O trzeciej Sjunnesson przerwał oględziny.

- Nic tu nie ma - oświadczył. - Ani ukrytych pieniędzy, ani narkotyków. Mieszkanie jest czyste.

- W takim razie ktoś myślał, że tu coś znajdzie - rzekł Hemberg. - I się pomylił.

Mamy sprawę z głowy.

Wallander wyszedł z nim na ulicę.

- Trzeba wiedzieć, kiedy zakończyć - objaśnił Hemberg. - To chyba najważniejsze ze wszystkiego.

Wallander wrócił do domu i zadzwonił do Mony. Umówili się na wieczorną przejażdżkę autem. Mona pożyczyła samochód od przyjaciółki. O siódmej miała przyjechać po niego do Rosengard.

- Pojedziemy do Helsingborga - zaproponowała.

- Dlaczego?

- Bo nigdy tam nie byłam.

- Ja też nie - odparł Wallander. - Będę gotowy o siódmej.

Ale Wallander nie wyjechał tego wieczoru do Helsingborga. Tuż przed szóstą zadzwonił telefon. Usłyszał głos Hemberga. p- Przyjedź tu - polecił Hemberg. - Jestem u siebie w biurze.

- Właściwie mam inne plany - zaproponował Wallander.

Hemberg mu przerwał.

- Myślałem, że chcesz wiedzieć, co się przytrafiło twojemu sąsiadowi. Przyjedź, to ci coś pokażę. To nie potrwa długo.

Wallandera ogarnęła ciekawość. Zadzwonił do Mony, ale nie zastał jej w domu.

Zdązę wrócić, pomyślał. Właściwie nie stać mnie na taksówkę, ale mówi się trudno. Oderwał kawałek papierowej torby i napisał na nim, że wraca o siódmej. Potem zamówił taksówkę. Tym razem centrala zgłosiła się od razu. Przed wyjściem przytępił skrawek papieru pinezką do drzwi wejściowych.

Hemberg siedział w pokoju z nogami wyciągniętymi na stole. Dał znak Wallanderowi, żeby usiadł.

- Myliliśmy się - oświadczył. - Istniała wersja, która nie przyszła nam do głowy.

Sjunnesson miał rację. W mieszkaniu Halena nic nie było. To prawda. Ale coś tam było wcześniej.

Wallander nie rozumiał.

- Przyznaję, że ja również dałem się zmylić - rzekł Hemberg. - Halen zabrał to ze sobą.

- Przecież on już nie żył?

Hemberg skinął głową.

- Dzwonił lekarz sądowy - wyjaśnił. - Zakończył obdukcję. I w żołądku Halena znalazł coś niezwykle interesującego.

Hemberg zdjął nogi ze stołu. Sięgnął do szuflady, wyjął stamtąd złożony kawałek materiału, delikatnie go odwinął i pokazał Wallanderowi.

W środku leżały kamienie. Szlachetne kamienie.

- Na chwilę przed twoim przyjściem był u mnie jubiler - rzekł Hemberg. - Zrobił pobieżne badanie. To diamenty. Prawdopodobnie z południowoamerykańskich kopalni. Niezły majątek. Halen je połknął.

- Miał je w żołądku?

Hemberg przytaknął.

- Nic dziwnego, że ich nie znaleźliśmy.

- Ale dlaczego je połknął? I kiedy?

- Ostatnie pytanie jest chyba najważniejsze. Lekarz twierdzi, że połknął je zaledwie na kilka godzin przed śmiercią. Zanim jelita i żołądek przestały funkcjonować.

Jak sądzisz, na co to wskazuje?

- Że się czegoś bał.

- No właśnie.

Hemberg odsunął zawiniątko z diamentami i znów położył nogi na stole. Wallander poczuł zapach potu.

- Zrób teraz podsumowanie.

- Nie wiem, czy będę umiał.

- Spróbuj.

- Halen połknął diamenty ze strachu, że ktoś je ukradnie. I potem się zastrzelił.

Człowiek, który przyszedł w nocy, szukał kamieni. Ale pożaru nie potrafię wyjaśnić.

- Nie dałoby się spojrzeć na to z innej strony? - zaproponował Hemberg. - Jak trochę zmienisz motyw Halena. Co wtedy?

Wallander nagle zrozumiał, co Hemberg ma na myśli.

- Może on się wcale nie bał - rzekł. - Może tylko postanowił się nie rozstawać ze swoimi diamentami.

Hemberg skinął głową.

- Nasuwa mi się jeszcze jeden wniosek. Ktoś musiał wiedzieć, że Halen ma diamenty.

- A Halen wiedział, że ten ktoś wie.

Hemberg kiwnął z zadowoleniem głową.

- Robisz postępy - pochwalił. - Chociaż bardzo wolno.

- To jednak nie tłumaczy pożaru - zauważył Wallander.

- Trzeba sobie zawsze zadawać pytanie, co jest najważniejsze - pouczył go Hemberg. - Gdzie znajduje się centrum. Sedno sprawy. Podpalenie może być manewrem mylącym. Albo czynem furiata.

- Ale kogo?

Hemberg wzruszył ramionami.

- Tego się raczej nie dowiemy. Halen nie żyje. Nie wiadomo, w jaki sposób zdobył diamenty. Oskarżyciel mnie wyśmiej, jeśli się zjawię u niego z takim materiałem.

- Co się stanie z diamentami?

- Wylądują w publicznym funduszu spadkowym. A raport w sprawie śmierci Halena na samym dnie piwnicy.

- Więc nie będziemy badać przyczyny pożaru?

- Podejrzewam, że niezbyt dokładnie - odparł Hemberg. - Nie ma ku temu specjalnego powodu.

Hemberg wstał i podszedł do szafy przy ścianie. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Skinął na Wallandera, żeby do niego podszedł. Pokazał mu kilka segregatorów przewiązanych taśmą.

- To moi stali towarzysze - oświadczył. - Trzy niewyjaśnione zabójstwa, wciąż jeszcze nieprzedawnione. Ja się tym nie zajmuję. Ale raz w roku powracamy do zapisów śledztwa. Albo wtedy, gdy pojawiają się nowe fakty. Trzymam tu kopie oryginalnych dokumentów. Czasami je przeglądam. Niekiedy mi się śnią. Większość policjantów się tym nie przejmuje. Odfajkują swoje, a po powrocie do domu o wszystkim zapominają. Ale są również tacy, którzy nie potrafią zapomnieć o niewyjaśnionej sprawie. Ja do nich należę. Zabieram ze sobą te teczki, nawet jak jadę na urlop. Trzy zabójstwa. Ann- Louise Franzen, dziewiętnastoletnia dziewczyna, rok 1963. Zwłoki odnaleziono w krzakach przy północnym wyjeździe z miasta. Udużona. Leonard Jo-hansson, ten sam rok. Miał zaledwie 17 lat. Znaleźliśmy go na plaży w południowej części miasta, z głową zmiażdżoną kamieniem.

- Pamiętam go - powiedział Wallander. - Zdaje się, że poszło o dziewczynę i skończyło się zabójstwem.

- Poszło o dziewczynę - potwierdził Hemberg. - Przez wiele lat przesłuchiwalismy rywala. Nic to nie dało. Zresztą nie sądzę, żeby on był zabójcą.

Hemberg wskazał na leżący na spodzie skoroszyt.

- Kolejna dziewczyna. Lena Moscho, 20 lat. Kwiecień 1959 roku. Rok, w którym przyjechałem do Malmo. Zgwałcona i z obciętymi rękami została zakopana przy drodze do Svedali. Wywęszył ją jakiś pies. Mieszkała z rodzicami w Jagersro. Porządna dziewczyna, studentka medycyny. Wyszła po gazetę i nie wróciła. Znaleźliśmy ją dopiero po pięciu miesiącach.

Hemberg pokiwał głową.

- Ciekawe, do jakiej kategorii ty będziesz należał - powiedział, zamykając szafę. -

Czy do tych, którzy zapominają, czy do tych drugich.

- Nie wiem, czy w ogóle się nadaję - wyznał Wallander.

- W każdym razie bardzo ci zależy - stwierdził inspektor. - A to dobry początek.

Hemberg zaczął zakładać marynarkę. Wallander zerknął na jego zegarek. Była za pięć siódma.

- Muszę już lecieć - powiedział.

- Mogę cię podrzucić do domu - zaproponował Hemberg.

- Trochę się spieszę.

Hemberg wzruszył ramionami.

- W każdym razie już wiesz, co Halen miał w żołądku - zakończył.

Wallanderowi dopisywało szczęście. Udało mu się złapać taksówkę przed komendą policji. Dotarł do Rosengard dziesięć po siódmej. Miał nadzieję, że Mo-na się trochę spóźni. Zrozumiał, że się omylił, gdy zobaczył kartkę na drzwiach.

„Czy tak ma wyglądać nasze wspólne życie?”, napisała.

Wallander odczepił kartkę. Pinezka potoczyła się na schody. Nie będzie jej szukał.

Najwyżej wbije się w but Linnei Almqvist.

„Czy tak ma wyglądać nasze wspólne życie?”. Wallander doskonale rozumiał rozżalenie Mony. Mona nie miała tak jak on ambicji zawodowych. Wiedziała, że minie dużo czasu, zanim spełni się jej marzenie o własnym salonie fryzjerskim.

Kiedy wszedł do mieszkania i usiadł na kanapie, ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Powinien poświęcać Monie więcej czasu, zamiast liczyć na jej wyrozumiałość za każdym razem, gdy się spóźni. Nie było sensu do niej dzwonić. W tej chwili jechała do Helsingborga pożyczonym samochodem.

Nagle ogarnął go niepokój. Czy na pewno przemyślał, co oznacza wspólne życie z Moną? Rodzina i dzieci?

Starał się odpędzić od siebie te myśli. W Skagen będziemy mieli czas na rozmowy, pomyślał. Na plażę nie można się spóźnić.

Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej. Włączył telewizor. Jak zwykle gdzieś się rozbił samolot. A może wykoleił się pociąg? Wyszedł do kuchni, słuchając wiadomości jednym uchem. Na próżno szukał piwa w lodówce. Stała tam tylko napoczęta butelka oranżady. Czuł wielką ochotę na coś mocniejszego. Najlepiej w jakimś barze.

Lecz mimo że był dopiero początek miesiąca, miał za mało pieniędzy.

Podgrzał resztkę kawy w czajniku i wrócił myślami do Hemberga i jego niewyjaśnionych akt w szafie. Czy on też taki będzie? A może jednak nauczy się nie myśleć o pracy po powrocie do domu? Bo inaczej Mona dostałaby szału.

Uwierały go klucze w tylnej kieszeni. Wziął je do ręki i położył na stole. W tym samym momencie coś mu się przypomniało. Miało to związek z Halenem.

Dodatkowy zamek. Ten, który Halen niedawno zainstalował. Jak to wytłumaczyć?

Czyżby się czegoś obawiał? I dlaczego drzwi od mieszkania były niedomknięte, kiedy Wallander go znalazł?

Zbyt dużo rzeczy się nie zgadza. Mimo twierdzenia Hemberga, że mają do czynienia z samobójstwem, Wallandera dręczyły wątpliwości.

Rosło w nim przekonanie, że za sprawą Halena kryje się coś, o czym nie mają najmniejszego pojęcia, bez względu na to, czy w grę wchodzi samobójstwo, czy nie.

Wallander wyjął z szuflady notes i zanotował wszystkie wątki, które budziły jego zastrzeżenia. Dodatkowy zamek. Kupon zakładów. Uchylone drzwi.

Nocna wizyta w poszukiwaniu szlachetnych kamieni. Pożar.

Następnie usiłował sobie przypomnieć treść zapisków w książeczkach żeglarskich.

Zapamiętał Rio de Janeiro. Ale czy chodziło o miasto, czy o nazwę statku? Goteborg i Bergen też były zapisane w książeczkach, tak samo jak Saint Luis. Gdzie to leży?

Wstał i poszedł do pokoju. Głęboko w szafie odszukał stary atlas ze szkolnych czasów. Nie był pewien, jak się pisze Saint Luis. Luis czy Louis? Gdzie leży, w Stanach czy w Brazylii? Wertował spis nazw w atlasie i nagle natrafił na Sao Luis. To było to.

Raz jeszcze przyjrzał się swoim zapiskom. Czy istnieje coś, czego nie dostrzegam?, pomyślał. Jakaś zależność, jakiś trop, albo jak to nazywa Hemberg, centrum.

Niczego nie dostrzegał.

Kawa wystygła. Zniecierpliwiony wrócił na kanapę. W telewizji toczyła się kolejna debata. Tym razem w studiu zasiedli długowłosi goście i dyskutowali o angielskim popie. Wyłączył telewizor i nastawił adapter. Linnea Almqvist zaczęła natychmiast walić w podłogę. Miał ochotę nastawić głoś na pełny regulator. Ale zamiast tego wyłączył muzykę.

W tym momencie zadzwieczał telefon. Dzwoniła Mona.

- Jestem w Helsingborgu - oznajmiła. - W budce na przystani promowej.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Wallander.

- Domyślam się, że to z powodów służbowych?

- Zadzwonili do mnie z kryminalnego. Mimo że jeszcze u nich nie pracuję.

Myślał, że jej zaimponuje, ale odniósł wrażenie, że mu nie wierzy. W słuchawce zapadła cisza.

- Nie możesz tu przyjechać? - zapytał.

- Najlepiej będzie, jak zrobimy przerwę - odparła Mona. - Przynajmniej na tydzień.

Wallander na moment zeszywniał. Czyżby Mona zamierzała go rzucić?

- Tak będzie najlepiej - powtórzyła.

- Myślałem, że jedziemy razem na wakacje?

- Owszem. Jeżeli nie zmienisz zdania.

- Oczywiście, że nie zmieniłem.

- Nie musisz podnosić głosu. Możesz do mnie zadzwonić za tydzień, nie wcześniej.

Usiłował ją zatrzymać przy telefonie. Ale odłożyła słuchawkę.

Resztę wieczoru Wallander spędził na kanapie, z uczuciem narastającej paniki.

Najbardziej ze wszystkiego bał się, że zostanie porzucony. Z trudem się powstrzymał, aby po północy nie wykręcić numeru Mony. Położył się i zaraz potem wstał. Jasne, letnie niebo wydało mu się naraz zdradliwe. Usmażył kilka jajek, ale nie mógł nic przełknąć.

Zasnął wreszcie około piątej i niemal natychmiast został wyrwany ze snu.

Przeszyła go nagła myśl.

Kupon zakładów.

Halen musiał gdzieś oddawać swoje kupony. I to chyba co tydzień w tym samym miejscu. Ponieważ zazwyczaj trzymał się swojej dzielnicy, był to pewnie któryś z okolicznych punktów przyjmujących zakłady.

Wallander nie bardzo wiedział, co dałoby mu odnalezienie właściwego punktu.

Prawdopodobnie nic.

Postanowił jednak zawierzyć swojej intuicji. Przynajmniej zagłuszy paniczne myśli krążące wokół Mony.

Zapadł na kilka godzin w niespokojny sen.

Nazajutrz była niedziela. Wallander spędził ją całkowicie beczynnym.

W poniedziałek 9 czerwca zrobił coś, co wcześniej nie przyszłoby mu do głowy.

Zadzwoił na komendę i powiedział, że jest chory na grype żołądkową. Tydzień temu przechodziła ją Mona. Nawet nie odczuwał wyrzutów sumienia.

Kiedy wychodził z domu tuż po dziewiątej, było pochmurno i wietrznie. Powietrze się ochłodziło. Prawdziwe lato jeszcze nie nadeszło.

W okolicy znajdowały się dwa punkty przyjmujące zakłady. Wszedł do pierwszego z nich i zaraz pożałował, że nie ma przy sobie zdjęcia Halena. Właściciel sklepu był Węgrem. Mimo że mieszkał w Szwecji od 1956 roku, bardzo źle znał język. Poznał Wallandera, jako że ten często kupował u niego papierosy. Teraz też kupił dwie paczki.

- Przyjmuje pan zakłady bukmacherskie?
- Myślałem, że pan kupuje tylko losy na loterię.
- Czy oddawał u pana kupony Artur Halen?
- Kto?
- Człowiek, który niedawno zginął w pożarze.
- W jakim pożarze?

Wallander wyjaśnił, o co chodzi, i opisał wygląd Halena. Mężczyzna za ladą pokręcił przecząco głową.

- Tu nie przychodził. Musiał chodzić gdzie indziej.

Wallander zapłacił i podziękował. Zaczęło kropić. Przyspieszył kroku. Przez cały czas myślał o Monie. W następnym sklepie też nikt nie słyszał o Halenie. Wallander przystanął pod wystającym balkonem i zastanawiał się, czym się teraz właściwie zajmuje. Hemberg uznałby mnie za wariata, pomyślał.

Ruszył przed siebie. Do następnego sklepu miał prawie kilometr. Żałował, że nie włożył

kurtki przeciwdeszczowej. W punkcie sąsiadującym z niewielkim sklepem spożywczym stanął w kolejce. Ekspedientka, ładna młoda dziewczyna, była w jego wieku. Wallander nie spuszczał z niej wzroku, kiedy na życzenie klienta szukała starego numeru pisma dla motocyklistów. Widok ładnej kobiety zawsze wywierał na nim ogromne wrażenie. Teraz przytłumił na chwilę niespokojne myśli krążące wokół Mo-ny. Mimo że wcześniej kupił dwie paczki papierosów, poprosił o jeszcze jedną. Zastanawiał się, jak ekspedientka zareaguje, kiedy się dowie, że jest policjantem. Czy stanie się nieprzyjemna, czy może uważa, że większość funkcjonariuszy wykonuje dobrą robotę i bez policji nie można się obejść. Postawił na to drugie.

- Mam do pani kilka pytań - zwrócił się do niej, płacąc za papierosy. - Nazywam się Kurt Wallander, jestem asystentem kryminalnym.

- Coś takiego - zdziwiła się ekspedientka. Mówiła obcym dialektem.

- Nie jest pani tutejsza - zagadnął.

- Czy o to chciał pan zapytać?

- Nie.

- Pochodzę z Lenhovdy.

Nie znał tej miejscowości. Wydawało mu się, że leży w Blekinge. Zmienił jednak temat i przeszedł do pytań o Halena i kupony zakładów. Dziewczyna słyszała o pożarze. Wallander opisał jej wygląd Halena. Chwilę się namyślała.

- Może - powiedziała. - Czy mówił powoli? I cicho?

Wallander chwilę pomyślał i kiwnął potakująco głową. To by się zgadzało.

- Wydaje mi się, że grał dość ograniczonym systemem - ciągnął. - Trzydzieści dwa rzędy czy coś w tym rodzaju.

Znów się namyślała, po czym skinęła głową.

- Tak - potwierdziła. - Przychodził tutaj raz w tygodniu. Jednego tygodnia obstawiał 32 rzędy, drugiego 64. I tak na przemian.

- Pamięta pani, jak się ubierał?

- Nosił niebieską kurtkę - odparła natychmiast.

Wallander przypominał sobie, że za każdym razem, kiedy spotykał Halena, tamten ubrany był w niebieską kurtkę zapinaną na suwak.

Dziewczyna miała dobrą pamięć i była dociekliwa.

- Czy on miał coś na sumieniu?

- Na razie nic nie wiadomo.

- Słyszałam, że popełnił samobójstwo.

- To prawda. A potem ktoś umyślnie spowodował pożar.

Powinienem się ugryźć w język, zbeształ się w myślach. To wciąż nie jest pewne.

- Zawsze miał odliczone pieniądze - przypomniała sobie. - Dlaczego pan pyta, czy

oddawał u nas kupony?

- To czysto rutynowe pytanie - odrzekł Wallander. - Mogłaby pani jeszcze coś o nim powiedzieć?

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

- Dzwonił z naszego telefonu.

Telefon stał na małej półce, obok stołu z kuponami zakładów.

- Jak często?

- Za każdym razem. Najpierw oddawał kupon i płacił. Potem dzwonił i wracał, że-by zapłacić za połączenie. Jedna rzecz była dziwna - dodała dziewczyna, przygryzając dolną wargę. - Pamiętam, że zwróciłam na to uwagę.

- Co takiego?

- Zanim wykręcił numer i zaczął rozmowę, zawsze czekał, aż wejdzie jakiś klient.

Nigdy nie dzwonił, kiedy w środku byłam tylko ja.

- Nie chciał, żeby pani słyszała, o czym mówi?

Wzruszyła ramionami.

- Chciał rozmawiać w spokoju. Jak każdy.

- Nigdy nie słyszała pani, o czym rozmawia?

- Zawsze coś słysząc, nawet jak są klienci.

Jej ciekawość może się przydać, pomyślał Wallander.

- I co mówił?

- Niewiele - odparła. - Zawsze rozmawiał bardzo krótko. Tyle, ile trzeba, żeby się umówić.

- Umówić?

- Miałam wrażenie, że się z kimś umawiał. Często podczas rozmowy spoglądał na zegarek.

Wallander się namyślił.

- Czy zjawiał się tutaj określonego dnia tygodnia?

- Zawsze w środę po południu. Chyba między drugą a trzecią. Może nieco później.

- Kupował coś?

- Nie.

- Jak to możliwe, że pani tak dokładnie wszystko pamięta? Przychodzi tu przecież mnóstwo klientów?

- Nie wiem - odrzekła. - Myślę, że człowiek pamięta dużo więcej, niż sobie uświadamia. Wystarczy, że ktoś zapyta, i już się przypomina.

Wallander spojrzał na jej dłonie. Nie nosiła obrączki. Przemknęło mu przez głowę, żeby się z nią umówić, ale z przerażeniem odpędził od siebie tę myśl.

Odniósł wrażenie, że Mona przejrzała jego zamiary.

- Pamięta pani coś jeszcze? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała. - Ale jestem pewna, że rozmawiał z kobietą.

- Skąd pani wie? - zdziwił się.

- To się słyszy - stwierdziła stanowczo.

- Według pani Halen dzwonił i umawiał się z kobietą?

- A co w tym dziwnego? Był stary, ale to chyba nie jest przeszkodą? Wallander kiwnął głową. Miała naturalnie rację. A jeśli tak, to dowiedział się czegoś ważnego. Mianowicie, że w życiu Halena istniała jakaś kobieta.

- Dobrze - stwierdził. - Czy coś jeszcze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do sklepu weszły klientki. Wallander czekał. Dwie małe dziewczynki długo napełniały torebki słodyczami, a potem płaciły niezliczoną ilością drobniaków.

- Jej imię zaczynało się chyba na A - przypomniała sobie. - Jak już mówiłam, rozmawiał bardzo cicho. Ale to mogła być Anna. Albo podwójne imię. Coś na A.

- Jest pani pewna?

- Nie - przyznała. - Ale tak sędzę. Wallander miał jeszcze jedno pytanie.

- Czy zawsze przychodził sam?

- Zawsze.

- Bardzo mi pani pomogła - podziękował.

- Czy można wiedzieć, po co te wszystkie pytania?

- Niestety nie - odparł Wallander. - My tylko stawiamy pytania. Ale nie zawsze na nie odpowiadamy.

- Może powinnam zostać policjantką - zauważyła. - W każdym razie nie mam zamiaru sterczeć tu przez całe życie.

Wallander pochylił się nad ladą i zapisał swój numer telefonu na karteczce leżącej obok kasy.

- Proszę kiedyś zadzwonić - zaproponował. - Możemy się spotkać i opowiem pa-ni, jak wygląda praca w policji. Mieszkam w tej okolicy

- Wallander - upewniła się. - Tak?

- Kurt Wallander.

- Mam na imię Maria. Ale proszę sobie przypadkiem niczego nie obiecywać. Mam chłopaka.

- Nigdy sobie niczego nie obiecuję - uśmiechnął się Wallander.

Chłopaka można zawsze unieszkodliwić, pomyślał, wychodząc na ulicę. Nagle przystanął. Co będzie, jeżeli ona naprawdę zadzwoni? I to wtedy, kiedy przyjdzie do niego Mona? Zastanawiał się, co by wtedy zrobił. Poczł pewnego rodzaju satysfakcję.

Niech Mona wie. Że podał numer telefonu bardzo ładnej dziewczynie, która ma na imię Maria.

W tej samej chwili spadł rzęsy deszcz, jak gdyby karząc Wallandera za grzeszne myśli. Wrócił do domu kompletnie przemoczony. Położył wilgotne paczki papierosów na kuchennym stole i rozebrał się do naga. Teraz powinna tu przyjść Maria i wytrzeć mnie do sucha. A Mona niech obcina ludziom włosy i ma tę swoją cholerną przerwę.

Włożył szlafrok i zapisał w notesie uzyskane informacje. Halen dzwonił do pewnej kobiety w każdą środę. Kobiety której imię rozpoczynało się na literę A. Pytanie tylko, co to oznacza? Jedno jest pewne. Runął mit samotnego, starego człowieka.

Wallander usiadł przy kuchennym stole i zajrzał do notatek z poprzedniego dnia.

Nagle przyszło mu na myśl, że gdzieś musi istnieć rejestr marynarzy, w którym można odnaleźć informacje o Halenie. Dokąd pływał i na jakich statkach.

Wiem, kto mógłby mi pomóc, pomyślał. Helena. Ona na pewno by mi poradziła, gdzie szukać. Pracuje przecież w biurze spedycji morskiej. O ile nie rzuci słuchawki na dźwięk mojego głosu.

Dochodziła jedenasta. Deszcz już przestał padać. Helena nie wychodziła na obiad przed pierwszą. Zdąży ją jeszcze złapać.

Wyszedł i wszedł w autobus do Dworca Głównego. Biuro, w którym pracowała Helena, znajdowało się na terenie portowym. Znajoma recepcjonistka kiwnęła głową na przywitanie.

- Czy jest Helena? - zapytał.

- Rozmawia przez telefon. Możesz wejść na górę, wiesz, gdzie jej szukać.

Szedł na drugie piętro pełen niepokoju, czy Helena się nie rozgniewa.

Pocieszał się, że raczej będzie zaskoczona, a on szybko powie, że chodzi o sprawę służbową. Nie przychodzi jako jej dawny chłopak, ale policjant o tym samym nazwisku, przyszły pracownik wydziału śledczego.

„Helena Aronsson, asystentka”, głosił napis na drzwiach. Wallander zaczerpnął

głęboko powietrza i zapukał. Usłyszał jej głos i otworzył drzwi. Nie rozmawiała już przez telefon, pisała na maszynie. Tak jak przypuszczał, bardzo się zdziwiła, ale nie wyglądała na zagniewaną.

- Ty? Co ty tu robisz? - zapytała.

- Przychodzę w sprawie służbowej - zaczął Wallander. - Wydaje mi się, że mogłabyś mi pomóc.

Wstała, a w jej wzroku pojawił się wyraz niechęci.

- Naprawdę - zapewnił Wallander. - Nie chodzi o sprawy prywatne.

Wciąż mu nie dowierzała.

- W czym miałabym ci pomóc?

- Mogę usiąść?

- Ale tylko na chwilę.

Ten sam język władzy, którym posługuje się Hemberg, pomyślał. Musisz stać i czuć się podległy, a ten, kto ma władzę, siedzi. Zajmując miejsce, zastanawiał się, jak mógł być zakochany w tej kobiecie. W tej chwili pamiętał tylko, że była oschła i nieprzyjemna.

- Mam się dobrze - rzekła. - Możesz sobie oszczędzić pytania.

- Ja również.

- Czego chcesz ode mnie?

Wallander westchnął w duszy na dźwięk jej opryskliwego tonu i wyjaśnił, z czym przychodzi.

- Zajmujesz się transportem morskim - powiedział. - Może wiesz, jak mógłbym zdobyć informacje o Halenie. U których amatorów pracował, na jakich statkach pływał.

- Mam do czynienia z transportem - odparła. - Wynajmujemy statki lub nadbrzeża dla Kockums i Volvo. To wszystko.

- Ktoś chyba musi wiedzieć.

- Czy policja nie ma innego sposobu, żeby zdobyć te informacje?

Wallander był przygotowany na to pytanie.

- To śledztwo o trochę nietypowym charakterze. Nie mogę wyjawić szczegółów.

Widział, że nie do końca mu wierzy. Jego odpowiedź nieco ją rozbawiła.

- Mogę zapytać któregoś z kolegów - zaproponowała. - Mamy tu dawnego kapitana marynarki. A co ja z tego będę miała? Że ci pomogę?

- A co byś chciała? - zapytał najuprzejmiej, jak potrafił.

Potrząsnęła głową.

- Nic.

Wallander wstał z krzesła.

- Mam nadal ten sam numer telefonu - poinformował.

- A ja mam nowy - odparła. - I ci go nie podam.

Dopiero na ulicy Wallander poczuł, że jest spocony. Spotkanie z Heleną kosztowało go więcej, niż się spodziewał. Stał w miejscu, zastanawiając się, co dalej począć.

Gdyby miał więcej pieniędzy, pojechałby do Kopenhagi. Musi jednak pamiętać, że jest na zwolnieniu. Ktoś z pracy może do niego zatelefonować. Nie powinien zbyt długo przebywać poza domem. Zresztą było mu coraz trudniej uzasadnić, dlaczego poświęca tyle czasu zmarłemu sąsiadowi. Poszedł na obiad do kawiarni położonej naprzeciwko

przystani promowej. Zanim złożył zamówienie, sprawdził, ile gotówki mu zostało. Nazajutrz musi podjąć pieniądze w banku. Na koncie ma jeszcze tysiąc koron, który musi mu wystarczyć do końca miesiąca. Zjadł duszoną wołowinę i popił wodą.

O pierwszej wyszedł na ulicę. Z południowego zachodu nadciągały chmury. Postanowił wracać do domu. Lecz wsiadł do autobusu, który jechał na przedmieście, gdzie mieszkał ojciec. Poświęci mu kilka godzin i pomoże w pakowaniu. Nie ma przecież nic innego do roboty.

W domu ojca panował nieopisany bałagan. Ojciec siedział w zniszczonym słom-kowym kapeluszu na głowie i czytał gazetę.

- Rzuciłeś już?

- Co miałem rzucić?

- Poszedłeś po rozum do głowy i rzuciłeś policję?

- Mam dzisiaj wolne - wyjaśnił Wallander. - Nie ma sensu wracać do tego tematu. Nigdy się nie porozumiemy.

- Znalazłem gazetę z 1949 roku - rzekł ojciec. - Dużo w niej ciekawych rzeczy.

- Nie masz chyba czasu czytać gazet sprzed dwudziestu lat.

- Nie zdążyłem jej wtedy przeczytać. - Między innymi dlatego że miałem dwuletniego syna, który całymi dniami krzyczał. Dlatego czytam teraz.

- Chciałem ci pomóc przy pakowaniu.

Ojciec wskazał na stół, na którym stała zastawa.

- To ma być zapakowane w skrzynie - powiedział. - Porządnie, tak żeby nic się nie stukło. Jak rozbijesz jakiś talerz, będziesz musiał odkupić.

Ojciec wrócił do swojej gazety. Wallander zdjął kurtkę i zabrał się do pakowania zastawy. Talerze, które pamiętał z dzieciństwa. Filiżanka z lekko obtłuczonym brzegiem, do której miał szczególnie sentyment.

- Co o tym myślisz?

- O czym?

- O przeprowadzce.

- Cieszę się. Lubię zmiany

- I wciąż jeszcze nie obejrzałeś domu?

- Nie. Ale na pewno wszystko się ułoży.

Mój ojciec albo jest szalony, albo ma początki demencji, pomyślał Wallander. I nic na to nie mogę poradzić.

- Myślałem, że przyjdzie Cristina - powiedział.

- Poszła po zakupy.

- Chciałbym się z nią zobaczyć. Co u niej słychać?

- Wszystko w porządku. Spotkała wspaniałego faceta.
- Przyjechał tu z nią?
- Nie. Ale jest pod każdym względem udany. I chyba wkrótce postara się dla mnie o wnuki.
- Jak się nazywa? Co robi? Czy wszystko trzeba z ciebie wyciągać?
- Ma na imię Jens i jest naukowcem. Specjalizuje się w dializie.
- W czym?
- Chodzi o nerki. Słyszałeś o czymś takim? Jest naukowcem. W dodatku chętnie poluje na drobną zwierzynę. Wygląda na wspaniałego faceta.

W tym momencie Wallander upuścił na podłogę talerz, który pękł na dwie części.

- Będzie cię to drogo kosztowało - oświadczył ojciec, nie odrywając wzroku od gazety.

Tego już Wallander nie wytrzymał. Złapał kurtkę i wyszedł bez słowa. Nigdy nie pojedzie do Osterlen, pomyślał. Nigdy więcej moja noga nie postanie w jego domu. Nie rozumiem, jak mogłem z nim wytrzymać przez tyle lat. Teraz to już koniec.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos. Napotkał zdziwiony wzrok rowerzysty, z wysiłkiem pedałuującego pod wiatr.

Pojechał do domu. Drzwi do mieszkania Halena stały otworem. W środku technik zbierał resztki popiołu.

- Myślałem, że już skończyliście - zdziwił się Wallander.
- Sjunnesson jest dokładny - odparł technik.

Rozmowa się urwała. Wallander wyszedł na klatkę schodową i podszedł do swoich drzwi. W tym momencie do budynku weszła Linnea Almqvist.

- To straszne - odezwała się. - Biedny człowiek. Taki samotny.
- Zdaje się, że miał jakąś znajomą - powiedział Wallander.
- Trudno mi w to uwierzyć - odrzekła. - Na pewno bym zauważyła.
- Też tak myślę - zgodził się Wallander. - Ale nie musiał się z nią spotykać tutaj.
- Nie należy źle mówić o umarłych - rzuciła, wchodząc na górę po schodach.

Wallander nie rozumiał, dlaczego mówienie o obecności kobiety w życiu samotnego mężczyzny zostało uznane za szkalowanie zmarłego.

W chwili kiedy wszedł do domu, nie mógł już dłużej odsuwać myśli o Monie.

Pomyślał, że powinien do niej zadzwonić. Zresztą może sama zadzwoni do niego wieczorem. Pragnąc stłumić wzrastający niepokój, zaczął wyrzucać stare gazety. Następnie zabrał się do sprzątnięcia łazienki i szybko zdał sobie sprawę, że jest bardziej zapuszczona, niż myślał. Minęły trzy godziny, zanim uznał, że jest czysto. Była piąta.

Wstawił ziemniaki i wziął się do krojenia cebuli.

Zadzwonił telefon. To Mona, pomyślał. Serce zabiło mu szybciej.

Ale głos należał do innej kobiety. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że Maria to imię ekspedientki z punktu przyjmowania zakładów.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała. - Zgubiłam kartkę z pana te-lefonem. Nie znalazłam pana numeru w książce telefonicznej, więc zamiast do informacji zadzwoniłam na policję.

Wallander na moment zaniemówił.

- Co pani powiedziała? - wykrztusił.

- Że szukam Kurta Wallandera, bo mam dla niego ważne informacje. Z początku nie chcieli mi podać pana numeru. Ale się uparłam.

- Pytała pani o asystenta kryminalnego Wallandera?

- Pytałam o Kurta Wallandera. Jakie to ma znaczenie?

- Żadnego - odparł z ulgą.

W komendzie plotki rozchodziły się błyskawicznie. Gdyby wyszło na jaw, że podaje się za asystenta kryminalnego, mógłby mieć kłopoty i na dodatek stać się obiektem dowcipów. Nie tak sobie wyobrażał początek swojej kariery w kryminalnym.

- Pytałam, czy nie przeszkadzam - powtórzyła.

- Nie, skądże.

- Myślałam trochę o Halenie i jego zakładach. Nawiasem mówiąc, nigdy niczego nie wygrał.

- Skąd pani to wie?

- Bawiło mnie podpatrywanie, jak on typuje. Zresztą nie tylko on. Bardzo słabo się znał na angielskiej piłce.

To samo powiedział Hemberg, pomyślał Wallander. W tej kwestii nie ma więc wątpliwości.

- Myślałam też o jego rozmowach telefonicznych - ciągnęła. - I przypominałam sobie, że kilka razy dzwonił gdzie indziej. Nie tylko do tej kobiety.

Wallander nadstawił ucha.

- A do kogo?

- Po taksówkę.

- Skąd pani wie?

- Słyszałam, jak ją zamawiał. Podawał adres sklepu.

Wallander chwilę się zastanawiał.

- Ile razy to się zdarzyło?

- Trzy lub cztery razy. Zawsze najpierw dzwonił pod pierwszy numer.

- Nie słyszała pani przypadkiem, dokąd jechał?

- Tego nie mówił.
- Ma pani niezłą pamięć - powiedział z uznaniem. - Może pamięta pani, kiedy prowadził te rozmowy?
- Chyba w środy.
- A ostatnio?
- W ubiegłym tygodniu - odparła szybko i stanowczo.
- Jest pani pewna?
- Oczywiście. Zamówił taksówkę w ubiegłą środę. 28 maja, jeśli chce pan wiedzieć dokładnie.
- Dobrze - pochwalił Wallander. - Doskonale.
- Czy to się na coś przyda?
- Z pewnością.
- I nadal nie może mi pan powiedzieć, co się wydarzyło?
- Nie mogę - zapewnił Wallander. - Nawet gdybym chciał.
- Może kiedyś później?

Przyrzekł, że się odezwie. Po skończonej rozmowie rozmyślał o tym, co powiedziała dziewczyna. Co to mogło znaczyć? Halen miał jakąś kobietę. Po telefonie do niej zamówił taksówkę. Wallander poszedł sprawdzić ziemniaki. Były jeszcze twarde.

Po chwili przypomniał sobie, że ma w Malmo dobrego kolegę, który jest taksówkarzem. Przyjaźnili się od pierwszej klasy i nadal utrzymywali ze sobą kontakt. Nazywał się Lars Andersson i Kurt pamiętał, że zapisał jego numer telefonu na wewnętrznej stronie okładki książki telefonicznej.

Odszukał numer i zadzwonił. Odebrała Elin, żona Anderssona. Wallander widział ją zaledwie kilka razy w życiu.

- Czy mógłbym rozmawiać z Larsem? - zapytał.
- Wyjechał na trasę - poinformowała żona. - Ale kończy dzienną zmianę, powinien za jakąś godzinę być w domu.

Wallander poprosił, żeby Lars do niego zadzwonił.

- Jak dzieci? - zagadnęła.
- Ja nie mam dzieci - odparł zdziwiony Wallander.
- Musiałam coś źle zrozumieć - tłumaczyła się.
- Wydawało mi się, że Lars mówił, że masz dwóch synów.
- Niestety nie. Nie jestem nawet żonaty.
- Bez tego też można mieć dzieci - zauważyła.

Wallander wrócił do swoich ziemniaków i cebuli.

Z resztek które znalazł w lodówce, przyrządził posiłek. Mona nie dzwoniła. Znow padł deszcz. Z daleka dochodziły dźwięki harmonii. Czym ja się właściwie zajmuję, myślał. Sąsiad, Halen, odebrał sobie życie. Zanim to zrobił, połknął kilka szlachetnych kamieni. Ktoś próbował je odnaleźć i potem z wściekłości podłożył ogień pod drzwi mieszkania. Szaleńców nie brakuje. Podobnie jak chciwców. Ale samobójstwo nie jest przestępstwem. Tak samo jak chciwość.

Dochodziło pół do siódmej. Lars Andersson nie dzwonił. Wallander postanowił zaczekać do siódmej. Potem spróbuje jeszcze raz.

Za pięć siódma Andersson zadzwonił.

- Dopiero wróciłem, zawsze jest więcej kursów, jak pada. Słyszałem, że dzwoniłeś?

- To sprawa służbowa - wyjaśnił Wallander. - Pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc. Chodzi o kurs z Rosengard w ubiegłą środę, około trzeciej po południu. Pasażer miał na nazwisko Halen.

- Co się stało?

- Nie mogę w tej chwili o tym mówić - odparł Wallander. Za każdym razem, kiedy udzielał wykrętnych odpowiedzi, czuł się coraz bardziej nieswojo.

- To się da załatwić - obiecał Andersson. - W centrali w Malmo jest porządek.

Możesz mi podać szczegóły? Dokąd mam oddzwonić, do komendy?

- Najlepiej do mnie. Ja się tym zajmuję.

- Z domu?

- Teraz tak.

- Zobaczą, co mogę zrobić.

- Jak sądzisz, ile to potrwa?

- Przy odrobinie szczęścia niedługo.

- Czekam w domu - zapewnił Wallander.

Podał Anderssonowi wszystkie dane. Kiedy skończyli rozmawiać, zaparzył sobie kawę. Mona wciąż nie dzwoniła. Myślał o swojej siostrze. Ciekawe, jak ojciec jej wytłumaczy jego nagłe wyjście. O ile w ogóle wspomni, że syn go odwiedził. Cristina często brała stronę ojca. Wallander przypuszczał, że to ze strachu. Boi się jego i jego humorów.

Obejrzał wiadomości. Przemysł samochodowy miał się dobrze. W Szwecji panowała dobra koniunktura. Potem pokazywano zdjęcia z wystawy psów. Ściszył głos.

Wciąż padał deszcz. Wydawało mu się, że słyszy grzmoty. Ale może to samolot typu Metropolitan schodził do lądowania na Bulltofta.

Andersson zadzwonił dziesięć po dziewiątej.

- Tak jak myślałem - oznajmił. - W centrali w Malmö panuje porządek.

Wallander sięgnął po notes i pióro.

- To był kurs do Arlov - poinformował Andersson. - Nie ma nazwiska pasażera.

Kierowca nazywa się Norbert. Można się z nim bez trudu skontaktować i zapytać, czy coś pamięta.

- Czy to na pewno ten kurs?

- Nikt inny nie zamawiał wozu pod ten adres w ubiegłą środę.

- Kurs do Arlov?

- Dokładnie na Smedsgatan 9. Przy samej cukrowni. To stara dzielnica szerego-wych domów.

- Czyli mieszka tam tylko jedna rodzina. Albo jedna osoba.

- Całkiem możliwe.

Wallander notował.

- Świetnie to załatwiłeś - pochwalił kolegę.

- Mam jeszcze coś dla ciebie - odparł Andersson. - Chociaż o to nie pytałeś. Po-wrotny kurs ze Smedsgatan do miasta. W czwartek o czwartej rano. Kierowca nazywa się Orre, ale teraz go nie złapiesz. Spędza urlop na Majorce.

Jak taksówkarza stać na taki urlop?, pomyślał Wallander. Chyba że wozi klientów na lewo? Jednak nie powiedział tego głośno.

- To może ważny trop.

- Masz już samochód?

- Jeszcze nie.

- A chciałbyś tam jechać?

- Oczywiście.

- Dostaniesz służbowy wóz?

- Bez problemu.

- Jak chcesz, mogę cię zawieźć. Nie mam nic szczególnego do roboty. Będzie oka-zja, żeby się spotkać.

Wallander szybko się zgodził. Umówili się, że Andersson przyjedzie za pół godziny. Przez ten czas Wallander zadzwonił do biura numerów, żeby dowiedzieć się o numer abonenta na Smedsgatan 9 w Arlov. Okazało się, że numer jest zastrzeżony Deszcz przybierał na sile. Wallander włożył kalosze i nieprzemakalną kurtkę. Stał

przy oknie w kuchni i widział, jak Lars podjeżdża pod dom. Przyjechał swoim samochodem.

Wariackie przedsięwzięcie w wariacką pogodę, myślał Wallander, zamykając drzwi od mieszkania. Ale lepsze to niż chodzenie z kąta w kąt i czekanie na telefon od Mony. Tym gorzej dla niej, jeżeli zadzwoni, a jego nie będzie w domu.

Lars Andersson zaczął od razu wspominać szkolne czasy. Większości wydarzeń Wallander nie pamiętał. Lars często wracał do szkolnych lat, jak gdyby to był najlepszy okres w jego życiu. Wallandera to nużyło. Dla niego szkoła była szarą codzienno-

ścią, którą niekiedy tylko rozjaśniały lekcje geografii i historii. Ale lubił siedzącego obok kolegę. Jego rodzice mieli piekarnię w Limhamn. Był czas, kiedy często ze sobą przebywali. Lars był oddanym przyjacielem, na którego Kurt zawsze mógł liczyć.

- Często tędy jeździsz? - zapytał Wallander, kiedy zbliżali się do Arlov.

- Zdarza się. Głównie w weekendy z pasażerami, którzy popili w Malmo lub w

Kopenhadze i wracają do domu.

- Nic ci się nigdy nie przytrafiło?

Lars spojrział na niego.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Rabunek? Pogróżki?

- Nigdy. Raz ktoś nie zapłacił i chciał uciec. Ale go złapałem.

Dotarli do Arlov i Lars Andersson pojechał prosto pod wskazany adres.

- To tutaj, - oznajmił, wskazując palcem przez zawilgoconą szybę. - Smedsgatan 9.

Kurt Wallander opuścił szybę i wyrzwał na deszcz. Numer 9 był szóstym i ostatnim domem w szeregu. W jednym oknie paliło się światło.

- Nie wejdiesz do środka? - zapytał zdziwiony Lars Andersson.

- Chodzi o obserwację - odparł wymijająco Wallander. - Podjedź kawałek do przodu, to wysiądę i popatrzę.

- Mam z tobą pójść?

- Nie trzeba.

Wallander wysiadł z auta i naciągnął na głowę kaptur. Co dalej?, pomyślał. Mam zadzwonić do drzwi i zapytać, czy pan Halen był tu z wizytą w ostatnią środę między trzecią po południu a czwartą rano? Może mieli romans? Co powiem, jak otworzy mąż?

Czuł się idiotycznie. Co za bezsensowna dziecinada, pomyślał. Jedyne, co udo-wodniłem, to to, że w Arlov jest adres Smedsgatan 9.

Mimo to nie mógł się powstrzymać i przeszedł na drugą stronę ulicy. Przy furtce wisiała skrzynka na listy. Usiłował odcyfrować napis. W kieszeni miał papierosy i pu-dełko zapalek. Z pewnym trudem zapalił zapalniczkę i zdążył odczytać nazwisko, zanim deszcz zgasił płomień.

Aleksandra Batista. Maria ze sklepu dobrze usłyszała. Imię zaczyna się na A. Halen dzwonił do kobiety imieniem Aleksandra. Nie wiadomo, czy kobieta mieszka sama, czy z rodziną. Zerknął za płot, szukając wzrokiem dziecięcych rowerków lub czegoś, co wskazywałoby na to, że dom zamieszkuje rodzina z dziećmi. Niczego takiego nie zauważył.

Obszedł dom dokoła. Teren za domem był niezabudowany. Za rozpadającym się płotem stało kilka zardzewiałych beczek. I to wszystko. W oknach było ciemno. Świeciło się tylko w oknie kuchennym wychodzącym na ulicę. Był coraz bardziej świadomy bezsensu i niestosowności swojego zachowania, lecz mimo to postanowił doprowadzić swój zamiar do końca. Przeskoczył przez niski płot, szybko pokonał trawnik i znalazł się pod domem. Jak ktoś mnie zobaczy, to zawiadomi policję, pomyślał. Złapią mnie i to będzie koniec mojej kariery.

Postanowił się wycofać. Nazajutrz sprawdzi numer telefonu do rodziny Batistów.

Jeśli odbierze kobieta, zada jej kilka pytań. Jeżeli nie, odłoży słuchawkę.

Deszcz tylko siąpił. Wallander wytarł twarz. Już miał zawrócić do samochodu, gdy zauważył, że drzwi od strony tarasu są uchylone. Może mają kota, który chodzi po nocy, pomyślał.

Ogarnęło go uczucie, że coś jest nie w porządku. Nie potrafił tego wytłumaczyć.

Podszedł ostrożnie do drzwi i nasłuchiwał. Deszcz ustał. W oddali słyszał stopniowo cichnący dźwięk silnika ciężarówki. Z domu nie dochodził żaden odgłos. Ruszył z powrotem, w stronę frontowego wejścia.

Okno, w którym się świeciło, było uchylone. Przystanął pod ścianą i nadstawił uszu. Panowała całkowita cisza. Stał na palcach, zajrzał przez okno i zamarł. Zobaczył siedzącą na krześle kobietę. Patrzyła prosto na niego. Wallander wyskoczył na ulicę. W każdej chwili ktoś mógł wyjść przed dom i zawołać na pomoc. Albo wezwać radiowóz. Podbiegł do samochodu Anderssona i wskoczył na przednie siedzenie.

- Co się stało?

- Jedziemy - rzucił Wallander.

- Dokąd?

- Byle dalej. Do Malmo.

- Jest ktoś w domu?

- Nie zadawaj pytań. Włącz silnik i ruszaj.

Lars Andersson posłuchał. Wyjechali na szosę do Malmo. Wallander myślał o kobiecie, która się w niego wpatrywała.

Znów poczuł, że coś jest nie tak.

- Zjedź na najbliższy parking - poprosił.

Lars Andersson posłusznie wykonał polecenie. Zatrzymali się. Wallander siedział w milczeniu.

- Nie uważasz, że powinienem dowiedzieć się, o co chodzi? - zapytał ostrożnie Andersson.

Wallander nie odpowiadał. W twarzy kobiety było coś dziwnego. Nie potrafił tego sprecyzować.

- Zawracaj - polecił.

- Do Arlov?

W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

- Później ci wytłumaczę - przyrzekł Wallander. - Jedź pod ten sam adres. Możesz włączyć taksometr, jeśli masz.

- Oszalałeś? Od przyjaciół nie biorę za kurs - odciął się zirytowany Andersson.

W milczeniu jechali z powrotem. Deszcz już nie padał. Wallander wysiadł z auta.

Nie było radiowozów, naokoło panował spokój. W kuchennym oknie jaśniało samotne

światło.

Ostrożnie otworzył furtkę. Podeszedł do okna. Zanim powtórnie wspiął się na palce, wziął kilka głębokich oddechów.

Jeżeli jest tak, jak myśli, czeka go coś bardzo przykrego.

Wspiął się na palce i chwycił parapetu. Kobieta nadal siedziała na krześle i patrzyła na niego z tym samym wyrazem twarzy.

Wallander obszedł dom dokoła i pchnął drzwi od strony tarasu. W świetle ulicznej latarni dostrzegł na stole lampę. Zapalił ją. Następnie ściągnął z nóg kalosze i wszedł do kuchni.

Kobieta nadal siedziała na krześle. Nie odwróciła się do Wallandera. W dalszym ciągu wpatrywała się w okno.

Wokół szyi miała zaciśnięty za pomocą trzonka od młotka łańcuch od roweru.

Wallander poczuł, jak serce wali mu w piersiach.

Z telefonu w holu zadzwonił do komendy policji w Malmo.

Była za piętnaście jedenasta.

Poprosił do telefonu Hemberga. Dowiedział się, że Hemberg o szóstej wyszedł z komendy.

Dostał jego domowy numer i od razu zadzwonił.

Hemberg odebrał. Słysząc było, że telefon go obudził.

Wallander powiedział mu o swoim odkryciu. W domu w Arlov siedziała na krześle martwa kobieta.

3

Hemberg zjawił się w Arlov krótko po północy. Trwały już oględziny techniczne.

Wallander wysłał Anderssona do domu, nie informując go bliżej o tym, co zaszło.

Stanął później przy furtce, czekając, aż przyjedzie pierwszy radiowóz. Rozmawiał z asystentem kryminalnym Stefanssonem, który był w jego wieku.

- Znałeś ją? - zapytał Stefansson.

- Nie - odparł Wallander.

- To skąd się tu wzięłaś?

- Wyjaśnię to Hembergowi.

Stefansson rzucił mu podejrzliwe spojrzenie i zamilkł.

Hemberg zaczął od kuchni. Długo stał w drzwiach, przyglądając się martwej kobiecie. Wallander widział, jak wodzi wzrokiem po pomieszczeniu. Po dłuższej chwili Hemberg zwrócił się do Stefanssona. Dało się zauważyć, że asystent okazuje mu duży szacunek.

- Czy coś już o niej wiadomo? - zapytał Hemberg.

Przeszli do salonu. Stefansson otworzył torbę i wyłożył na stół kilka dokumentów.

- Aleksandra Batista- Lundstrom - poinformował. - Obywatelka szwedzka. Urodzona w Brazylii w 1922 roku. Przyjechała do Szwecji tuż po wojnie. Jeśli dobrze zrozumiałem, miała męża Szweda. Nazywał się Lundstrom. Tu są papiery rozwodowe z 1957 roku. Była już wtedy szwedzką obywatelką. Później pozbyła się nazwiska mę-

ża. Znalazłem książeczkę oszczędnościową na nazwisko Batista. Już bez Lundstrom.

- Miała dzieci?

Stefansson pokręcił przecząco głową.

- W każdym razie nikt z nią nie mieszkał. Rozmawialiśmy z sąsiadem. Mieszkała tu od samego początku, jak tylko zbudowano te domy.

Hemberg skinął głową i zwrócił się do Wallandera.

- Chodźmy na piętro - zaproponował. - Dajmy im spokojnie pracować.

Stefansson chciał do nich dołączyć. Ale Hemberg powstrzymał go gestem dłoni. Na piętrze znajdowały się trzy pokoje. Sypialnia kobiety, pokój, w którym oprócz dużej bielizniarki nie było żadnych mebli, i pokój gościnny. Hemberg usiadł na łóżku w pokoju gościnnym i dał znak Wallanderowi, żeby usiadł na krześle w rogu.

- Właściwie mam tylko jedno pytanie - zaczął Hemberg. - Jak sądzisz, jak ono brzmi?

- Dziwi się pan, co ja tu robię?

- Powiedziałbym nieco dosadniej - poprawił go Hemberg. - Skąd się, do cholery, tu wzięłeś?

- To długa historia - rzekł Wallander.

- To ją skróć - polecił Hemberg. - Ale niczego nie opuszczaj.

Wallander zaczął opowiadać. O kuponie zakładów, o telefonach, o taksówkach.

Hemberg słuchał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Milczał jeszcze przez chwilę, kiedy Kurt już skończył.

- Wykryłeś morderstwo i naturalnie zasługujesz na pochwałę - zaczął Hemberg. -

Jesteś uparty i rozumujesz całkiem prawidłowo. Ale pomijając to, twoje postępowanie jest pod każdym względem naganne. W policji nie ma czegoś takiego jak prywatne i tajne śledztwo, w którym policjant sam wyznacza sobie zadania. I mówię to raz na zawsze.

Wallander pokiwał głową. Zrozumiał przestrozę.

- Czym się jeszcze zajmujesz? Prócz tego, co cię doprowadziło do Arlov?

Wallander opowiedział o spotkaniu z Heleną w biurze spedycyjnym.

- To wszystko?

- Tak.

Wallander spodziewał się porządnej bury. Lecz Hemberg podniósł się i dał mu znak, żeby

za nim poszedł.

Na schodach przystanął i się odwrócił.

- Próbowałem cię dzisiaj złapać - powiedział. - Żeby cię poinformować, że przyszedł wynik badania broni. Nie zawiera niczego nowego. Powiedziano mi, że jesteś chory.

- Rano bolał mnie brzuch. Grypa żołądkowa.

Hemberg rzucił mu ironiczne spojrzenie.

- Szybko ci przeszło - zakpił. - Ale ponieważ już wydobrzałeś, możesz tu zostać przez noc. Może się czegoś nauczysz. Nic nie mów i niczego nie dotykaj. Staraj się wszystko zapamiętać.

O czwartej nad ranem zabrano zwłoki kobiety. Sjunnesson był na miejscu już od pierwszej. Wallandera zdziwiło, że mimo nocnej pory nie wyglądał na zmęczonego.

Hemberg, Stefansson i jeszcze jeden funkcjonariusz metodycznie przeszukiwali mieszkanie, zaglądali do szuflad i szaf i układali na stole wszystkie odnalezione dokumenty. Wallander przysłuchiwał się rozmowie między lekarzem nazwiskiem Jorne a Hembergiem. Było jasne, że kobieta została uduszona. Przy pierwszym badaniu Jorne znalazł również ślady uderzenia w tył głowy. Hemberga interesowało przede wszystkim, ile czasu upłynęło od chwili śmierci kobiety.

- Siedziała na krześle od kilku dni - odparł Jorne.

- Od ilu?

- Nie bawię się w zgadywanki. Musi pan spokojnie poczekać na wyniki sekcji.

Po skończonej rozmowie Hemberg zwrócił się do Wallandera:

- Rozumiesz, dlaczego zadaję te pytania?

- Chce pan wiedzieć, czy umarła przed Halenem?

Hemberg kiwnął głową.

- To by nam ewentualnie pomogło wyjaśnić, dlaczego odebrał sobie życie.

Zdarza się, że mordercy popełniają samobójstwo.

Hemberg usiadł na kanapie w salonie. Stefansson stał w holu i rozmawiał z fotografem.

- Jedno jest oczywiste - odezwał się Hemberg po chwili milczenia. - Aleksandra Batista została zamordowana, kiedy siedziała na krześle. Ktoś uderzył ją w głowę. Na podłodze i na ceracie są ślady krwi. A potem ją udusił. Możemy wyciągnąć z tego pewne wnioski.

Hemberg spojrzął na Wallandera.

Sprawdza mnie, pomyślał Kurt. Chce się przekonać, czy się nadaję.

- To znaczy, że znała mordercę.

- Słusznie. Coś więcej?

Wallander się zastanawiał. Czy powinien wyciągnąć jeszcze jakiś wniosek? Bezradnie

pokręcił głową.

- Musisz używać oczu - poradził Hemberg. - Czy widzisz coś na stole? Filiżankę?

Kilka filiżanek? Jak była ubrana? Wiadomo, że знаła tego, kto ją zabił. Załóżmy, że to mężczyzna. Ale jak go znała?

Wallander rozumiał. Złościło go, że sam na to nie wpadł.

- Była w koszuli nocnej i szlafroku - powiedział. - W takim stroju nie przyjmuje się obcych.

- Jak wyglądała sypialnia?

- Łóżko nie było zaścielone.

- Wniosek?

- Całkiem możliwe, że Aleksandra Batista miała bliski związek z mężczyzną, który ją zamordował.

- Co jeszcze?

- Na stole nie było filiżanek. Ale obok kuchenki stało kilka nieumytych szklanek.

- Zostaną zbadane - powiedział Hemberg. - Co pili? Czy są odciski palców? Z pustych szklanek można się dowiedzieć wielu interesujących historii.

Wstał ciężko z kanapy. Był wyraźnie zmęczony.

- Wiemy już dosyć dużo - ciągnął Hemberg. - Morderstwa dokonano przypuszczalnie z powodów osobistych, bo nie ma żadnych śladów włamania.

- To jednak nie tłumaczy pożaru u Halena - zauważył Wallander.

Hemberg przyjrzał mu się uważnie.

- Ponosi cię - zauważył. - Tu trzeba działać spokojnie i metodycznie. Wiemy już całkiem dużo na temat niektórych kwestii i to jest nasz punkt wyjścia. To, czego nie wiemy lub czego nie jesteśmy pewni, odkładamy na później. Nie możesz ułożyć układanki, kiedy połowa elementów wciąż leży w pudełku.

Wyszli do holu. Stefansson zakończył rozmowę z fotografem i teraz mówił przez telefon.

- Jak tu przyjechałeś? - zapytał Hemberg.

- Taksówką.

- Możesz wrócić ze mną. W drodze powrotnej Hemberg milczał. Jechali we mgle i siąpiącym deszczu. Komisarz podrzucił Wallandera do domu w Rosengard.

- Skontaktuj się jutro ze mną - rzekł na pożegnanie. - Jeżeli wyzdrowiejesz. Wallander wszedł do mieszkania. Było już zupełnie widno. Mgła się podnosiła. Położył się na łóżku, nie zdejmując ubrania, i wkrótce zasnął. Ze snu wyrwał go dźwięk dzwonka. Zaspany wytoczył się na korytarz i otworzył drzwi. Na progu stała jego siostra, Cristina.

- Przychodzę nie w porę?

Wallander potrząsnął głową i wpuścił ją do środka.

- Pracowałem całą noc - wyjaśnił. - Która godzina?

- Siódma. Jadę dziś z tatą do Loderup, ale chciałam się przedtem z tobą zobaczyć.

Poprosił ją, żeby zrobiła kawę, i poszedł się umyć i przebrać. Kilkakrotnie opłukał twarz zimną wodą. Kiedy wrócił do kuchni, nie odczuwał już skutków długiej, nieprzespanej nocy. Cristina spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jesteś jednym z niewielu znanych mi mężczyzn, którzy nie mają długich włosów

- powiedziała.

- Źle wyglądam w długich włosach - odparł. - Bóg mi świadkiem, że próbowa-

łem. Z brodą też mi nie do twarzy. Wyglądałem jak palant. Mona zagroziła, że mnie rzuci.

- Jak się miewa Mona?

- Dobrze.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć, co między nimi zaszło. O ciszy, która zapadła między nim a Moną.

Kiedy jeszcze mieszkali w domu, miał z siostrą bliski, ciepły kontakt. Mimo to postanowił nic nie mówić. Po jej przeprowadzce do Sztokholmu ich stosunki się rozluźniły.

Usiadł przy stole i zapytał, co u niej słyhać.

- Wszystko dobrze - zapewniła.

- Ojciec mówi, że spotkałaś kogoś, kto zajmuje się nerkami.

- Jest inżynierem i pracuje nad nowym typem aparatu do dializy.

- Nie bardzo wiem, co to jest. Ale pewnie coś bardzo skomplikowanego. Nagle się zorientował, że przyszła, żeby mu coś powiedzieć. Domyślił się tego po wyrazie jej twarzy.

- Nie wiem, na czym to polega - rzekł. - Ale zawsze poznaję, jak masz do mnie konkretną sprawę.

- Nie rozumiem, jak możesz w ten sposób traktować tatę.

- O co ci chodzi? - powiedział zaskoczony.

- Jak myślisz? Nie pomagasz mu w pakowaniu. Nie chcesz nawet obejrzeć jego domu w Loderup. Spotykasz go na ulicy i udajesz, że go nie poznajesz.

Wallander pokręcił głową.

- Wiesz to od niego?

- Tak. Był bardzo wzburzony.

- To wszystko nieprawda.

- Nie widziałam cię, od kiedy przyjechałam. Dzisiaj się przeprowadza.
 - Nie mówił ci, że u niego byłem? I że prawie wyrzucił mnie z domu?
 - Nic takiego nie mówił.
 - Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co on mówi. W każdym razie, jak mówi o mnie.
 - Więc to nieprawda?
 - Wszystko nieprawda - powtórzył. - Nawet mi nie powiedział, że kupił dom. Nie chciał mi go pokazać ani powiedzieć, ile zapłacił. Kiedy pomagałem mu przy pakowaniu, upuściłem na podłogę stary talerz. Od razu była awantura. A na ulicy przystaję i z nim rozmawiam. Mimo że często wygląda, jakby się urwał z choinki.
- Widział, że jej nie przekonał, i to go złościło. Jeszcze bardziej złościło go, że Cristina go poucza. Przypominała mu matkę. Albo Monę. Może nawet Helenę. Nie znosił kobiet, które się wtrącały do jego zachowania.
- Nie wierzysz mi, chociaż powinnaś - powiedział.
 - Nie zapominaj, że ty mieszkasz w Sztokholmie, a ja mam ojca na głowie przez cały czas. To duża różnica.

Zadzwonił telefon. Było dwadzieścia po siódmej. Wallander podniósł słuchawkę.

Telefonowała Helena.

- Dzwoniłam wczoraj wieczorem - zaczęła.
- Pracowałem całą noc.
- Myślałam, że mam zły numer, i zadzwoniłam do Mony.

Wallander o mało nie wypuścił słuchawki z ręki.

- Co zrobiłaś?
- Zadzwoniłam do Mony po twój numer.

Wallander domyślał się, co będzie dalej. Po telefonie Heleny zazdrość Mony wybuchnie z podwójną siłą. To nie poprawi ich stosunków.

- Jesteś tam? - spytała Helena.
- Tak. Ale w tej chwili jest u mnie siostra.
- Jestem w pracy. Możesz do mnie zadzwonić.

Wallander odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni.

Cristina spojrzała na niego pytająco.

- Jesteś chory?
- Nie. Ale muszę wracać do pracy.

Pożegnali się w holu.

- Musisz mi wierzyć - powtórzył Wallander. - Nie można zawsze ufać jego słowom. I

powiedz mu, że przyjadę, jak tylko będę miał czas. Jeśli chce mnie widzieć i kiedy dowiem się, gdzie jest ten dom.

- Na skraju Loderup - poinformowała Cristina. - Najpierw mijasz sklepik, potem przejeżdżasz wierzbową aleją. Na końcu, po lewej stronie, stoi dom oddzielony od drogi kamiennym murem. Ma czarny dach, jest bardzo ładny.

- Byłaś tam?

- Pierwszy transport rzeczy był wczoraj.

- Wiesz, ile zapłacił?

- Nic nie mówił.

Cristina wyszła. Wallander pomachał jej przez okno. Starł się stłumić w sobie gniew z powodu słów ojca. Bardziej gnębiło go to, co powiedziała Helena. Zadzwoił do niej i dowiedział się, że rozmawia z innego telefonu. Cisnął słuchawkę na widełki.

Rzadko tracił panowanie nad sobą. Tym razem niewiele brakowało. Zadzwoił jeszcze raz. Wciąż było zajęte. Mona ze mną zerwie, pomyślał. Cokolwiek powiem i tak mi nie uwierzy. Znow wykręcił numer i dodzwonił się do Heleny.

- Chciałaś coś ode mnie?

- Co to za ton? Staram się przecież ci pomóc - odpowiedziała ostro.

- Czy naprawdę musiałaś dzwonić do Mony?

- Mona wie, że przestałeś mnie interesować.

- Wie? To ty nie znasz Mony.

- Nie mam zamiaru przeproszać dlatego, że pytałam o twój numer telefonu.

- Po co dzwoniłaś?

- Przyszedł mi z pomocą kapitan Verke. Mówiłam ci kiedyś, jeżeli pamiętasz, że mamy tu byłego kapitana żeglugi morskiej.

Wallander pamiętał.

- Na moim stole leży kopia rejestru maszynistów i marynarzy, którzy przez ostatnie dziesięć lat pracowali u szwedzkich armatorów. Jak sam rozumiesz, jest w nim dość dużo nazwisk. Czy jesteś pewien, że ten gość służył wyłącznie pod szwedzką banderą?

- Nie jestem niczego pewien - przyznał Wallander.

- Możesz wpaść po ten rejestr - powiedziała. - Jak będziesz miał czas. Po południu jestem na zebraniu.

Wallander przyrzekł, że zjawi się przed południem. Kiedy odłożył słuchawkę, przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić do Mony i wyjaśnić sytuację. Zabrakło mu jednak odwagi.

Była za dziesięć ósma. Zaczął się ubierać. Myśl o tym, że przez cały dzień będzie patrolował ulice, do reszty psuła mu humor.

Stał już na progu, kiedy usłyszał telefon. Mona, pomyślał. Chce mi powiedzieć, żebym się od niej odczepił. Wziął głęboki oddech i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Hemberg.

- Jak twoja grypa żołądkowa?

- Właśnie wychodzę do komendy.

- Świetnie. Przyjdź do mnie. Ustaliliśmy z Lohmanem, że musimy z tobą dłużej porozmawiać, bo właściwie jesteś świadkiem. Możesz sobie dzisiaj odpuścić patrolowanie. Przy okazji unikniesz interwencji w melinie narkomanów.

- Już idę - zapewnił Wallander.

- Przyjdź o dziesiątej. Będziemy wtedy omawiać zabójstwo w Arlov.

Zakończyli rozmowę. Wallander spojrział na zegarek. Zdaży jeszcze odebrać papiery czekające na niego w biurze spedycji morskiej. Na ścianie w kuchni wisiał rozkład jazdy autobusów z Rosengard. Jeżeli się pospieszy, nie będzie musiał czekać na przystanku.

Wychodząc z domu, wpadł prosto na Monę. Tego się nie spodziewał. Tym bardziej nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Mona podeszła do niego i wymierzyła mu policzek. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Wallander był tak zaskoczony, że nawet nie zareagował. Palił go lewy policzek, nieopodal stojący mężczyzna, który otwierał drzwiczki od samochodu, przyglądał mu się z ciekawością.

Mona zniknęła. Wallander szedł powoli w kierunku przystanku. Miał ściśnięty żołądek. Nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji Mony.

Autobus zawiózł go do centrum miasta. Mgła się rozproszyła, lecz nadal było pochmurno i mżyło. Siedział w autobusie z całkowitą pustką w głowie. Wydarzenia ubiegłej nocy rozwiały się jak dym. Martwa kobieta siedząca na krześle była snem.

Jedyną, co istniało naprawdę, to Mona, która go uderzyła, a potem odeszła. Bez słowa, bez wahania.

Muszę się z nią rozmówić, pomyślał. Nie teraz, kiedy jest wzburzona, ale później, wieczorem.

Wysiadł z autobusu. Policzek wciąż go palił. Uderzenie było mocne. Przejrzał się w witrynie sklepu. Twarz była wyraźnie zaczerwieniona.

Stał na ulicy i zastanawiał się, co ma począć. Powinien jak najszybciej podziękować Larsowi Anderssonowi za pomoc. Należało mu się wyjaśnienie.

Później przyszedł mu na myśl dom w Loderup, którego nigdy nie widział. I dom rodzinny, w którym już nie ma rodziny.

Ruszył przed siebie. Nic nie pomoże, że będzie stał na chodniku w centrum Malmo.

Odebrał obszerną kopertę, którą Helena zostawiła dla niego w recepcji.

- Chciałbym z nią porozmawiać - zwrócił się do recepcjonistki.

- Jest zajęta - odpowiedziała. - Prosiła, żeby to panu przekazać.

Wallander zrozumiał, że Helena jest zła z powodu porannej rozmowy i nie chce go widzieć. Nietrudno ją było zrozumieć.

Kiedy dotarł do komendy, było zaledwie pięć po dziewiątej. Poszedł do swojego pokoju i stwierdził z ulgą, że nikt na niego nie czeka. Wrócił myślą do porannego wydarzenia. Jeśli zadzwoni teraz do salonu fryzjerskiego, Mona nie podejdzie do telefonu. Musi poczekać do wieczora.

Otworzył kopertę i patrzył ze zdumieniem na długie listy nazwisk od różnych armatorów, które zdobyła dla niego Helena. Nazwisko Halena nie figurowało w spisie.

Znalazł dwa podobnie brzmiące: Hale - marynarza, który pracował w Granges, i Hal-len - głównego mechanika pływającego na liniach Johnsona. Odsunął na bok stertę papierów. Jeżeli rejestr jest kompletny, to znaczy, że Halen nie służył na statkach należących do szwedzkiej floty handlowej. Odnalezienie go będzie praktycznie niemoż-

liwe. Wallander nie był już w tej chwili pewien, czego właściwie szuka. Co chce wyjaśnić?

Sprawdzenie nazwisk zajęło mu niemal trzy kwadransy. Kiedy skończył, poszedł na piętro. W korytarzu wpadł na swojego szefa, inspektora Lohmana.

- Nie miałeś być dzisiaj u Hemberga?

- Właśnie tam idę.

- Co ty właściwie robiłeś w Arlov?

- To długa historia. Będzie o tym mowa na zebraniu u Hemberga.

Lohman potrząsnął głową i szybko się oddalił. Wallander odczuwał ulgę na myśl, że dzisiaj nie musi chodzić z kolegami do ponurych melin narkomanów.

Hemberg siedział w pokoju i przeglądał papiery. Jak zwykle trzymał nogi na biurku. Podniósł wzrok na wchodzącego Wallandera.

- Co się stało? - zapytał, wskazując policzek Kurta.

- Wpadłem na drzwi - skłamał Wallander.

- To samo mówią maltretowane kobiety, kiedy nie chcą wydać swoich mężów - powiedział wesoło Hemberg, zdejmując nogi z biurka.

Wallander czuł, że komisarz go przejrzał. Coraz trudniej mu było go zrozumieć.

Jak gdyby właściwy sens tego, co Hemberg mówi, krył się za jego słowami.

- Wciąż czekamy na wynik analizy. To musi trochę potrwać. Dopóki nie będziemy wiedzieli, kiedy nastąpiła śmierć Batisty, musimy się wstrzymać z hipotezą, że mordercą jest Halen, który po dokonaniu czynu wrócił do domu i zastrzelił się z rozpaczy lub ze strachu.

Hemberg wstał, trzymając w ręku papiery. Wallander poszedł za nim do sali zebrań w głębi korytarza. Siedziało tam już kilku policjantów z kryminalnego, wśród nich

Stefansson, który obrzucił Kurta niechętnym spojrzeniem. Sjunnesson dłużej w paznokciach, nie patrząc na nikogo. Wallander zobaczył także dwie inne znajome twarze, Hornera i Mattssona. Hemberg usiadł na szczycie stołu i wskazał krzesło Kurtowi.

- Czy będzie nam teraz pomagać sekcja prewencji? - odezwał się Stefansson. - Za mało mają swoich cholernych demonstrantów?

- Nie będzie nam pomagać sekcja prewencji - odparł spokojnie Hemberg. - Ale to Wallander znalazł kobietę w Arlov.

Jedynie Stefansson niechętnie zareagował na obecność Kurta. Pozostali przywitali go przyjaznym skinieniem głowy. Wallander odnosił wrażenie, że z wdzięcznością przyjmują pomoc. Sjunnesson odłożył wykałaczkę, którą czyścił paznokcie. Najwyraźniej był to znak dla Hemberga, że może zaczynać. Wallander zauważył, że dyskusja była rzeczowa i nieodbiegająca od tematu. Policjanci zaczęli od niezaprzeczalnych faktów. Jednocześnie dawali sobie nawzajem, a przede wszystkim Hembergowi, swobodę w poruszaniu się po niepewnym gruncie. Dlaczego zamordowano Aleksandrę Batistę? Co mogło ją łączyć z Halenem? Czy istnieje jakiś inny trop?

- Kamienie szlachetne w żołądku Halena - przypomniał sobie Hemberg pod koniec zebrania. - Przyszła wycena od jubilera. Są warte 150 tysięcy koron. To dużo pieniędzy. W tym kraju ludzi morduje się za znacznie mniejsze sumy

- Kilka lat temu ktoś zabił taksówkarza żelazną rurą - dorzucił Sjunnesson. - W portfelu znalazł 22 korony.

Hemberg rozejrzał się po obecnych.

- A sąsiedzi? - zapytał. - Czy ktoś coś widział lub słyszał?

- Żadnych informacji. Batista żyła samotnie. Mało wychodziła, głównie po zakupy. Nikogo nie przyjmowała.

- Ktoś przecież musiał widzieć Halena? - nalegał Hemberg.

- Najwyraźniej nie. Mimo że najbliżsi sąsiedzi wyglądają na normalnych szwedzkich obywateli. To znaczy niebywale wścibskich.

- Kiedy ostatnio widziano Batistę?

- Świadczy się tu nieco różnią w zeznaniach. Ale z tego co mówią, można wnioskować, że kilka dni temu. Dwa lub trzy, dokładnie się nie da ustalić.

- Czy wiadomo, z czego żyła?

Teraz głos zabrał Horner.

- Miała chyba niewielką dożywotnią rentę. Nie bardzo wiadomo skąd. Wypłacał ją jakiś portugalski bank, który ma filie w Brazylii. Z bankami wszystko cholernie długo trwa. W każdym razie nie pracowała. Sądząc po zawartości jej szaf, lodówki i spiżarni, musiała żyć bardzo skromnie.

- A dom?

- Hipoteka jest czysta. Dom kupił za gotówkę jej poprzedni mąż.

- Gdzie go szukać?

- W grobie - odpowiedział Stefansson. - Zmarł kilka lat temu i jest pochowany w Karlskoga. Skontaktowałem się z wdową po nim. Ożenił się po raz drugi. Trochę głupio wyszło, bo za późno się zorientowałem, że ona nie ma pojęcia o jego życiu z Aleksandrą Batistą. W każdym razie nie mieli z Batistą dzieci.

- Bywa i tak - stwierdził Hemberg i odwrócił się do Sjunnessona.

- Robimy swoje - rzekł Sjunnesson. - Mamy odciski palców na szklankach. Zawierały chyba czerwone wino. Może hiszpańskie. Porównujemy z pustą butelką, która stała w kuchni. Sprawdzamy odciski w naszej bazie danych.

Potem, rzecz jasna, porównamy z odciskami Halena.

- Niewykluczone, że Halen figuruje w bazie Interpolu - wtrącił Hemberg. -

Zwrócimy się do nich, ale to trochę potrwa.

- Sądzę, że Batista sama wpuściła zabójcę - ciągnął Sjunnesson. - Nie znaleźli-

śmy śladów włamania ani na oknach, ani na drzwiach. Może zresztą miał własny klucz. Sprawdziliśmy klucze Halena i żaden nie pasuje. Wiemy od naszego kolegi Wallandera, że drzwi od strony tarasu były uchylone. Chyba po to, żeby wpuścić świeże powietrze, bo w domu nie było ani psa, ani kota. To z kolei wskazuje, że Batista się nie bała i nie spodziewała się niczego złego. Albo że zabójca opuścił dom tylnym wyjściem, bo stamtąd był mniej widoczny.

- Jakież inne ślady? - pytał Hemberg.

- Nic szczególnego.

Hemberg odsunął rozłożone przed nim papiery.

- Pracujemy dalej. Lekarze sądowi muszą się pospieszyć. Najprostszym rozwiązaniem byłoby, gdyby tę zbrodnię popełnił Halen. Osobiście uważam, że tak było. Ale trzeba w dalszym ciągu przepytować sąsiadów i grzebać w przeszłości.

Hemberg zwrócił się do Wallandera.

- Chcesz coś dodać? W końcu to ty ją znalazłeś.

Wallander pokręcił przecząco głową. Miał sucho w ustach.

- Nic?

- Nic, o czym by już nie było mowy.

Hemberg zabębnił palcami po blacie stołu.

- W takim razie nie ma co dłużej siedzieć. Czy ktoś wie, co dają dziś na obiad?

- Śledzia - poinformował Horner. - Na ogół jest smaczny.

Hemberg zaproponował Wallanderowi, żeby poszedł z nim zjeść, lecz Kurt odmówił. Nie miał apetytu. Chciał być sam i spokojnie się zastanowić. Poszedł do pokoju po kurtkę. Widział przez okno, że żonka ustała. Już miał wychodzić, kiedy zjawił się kolega z prewencyjnego. Rzucił na stół czapkę od munduru.

- Niech to diabli - zaklął i ciężko usiadł na krześle.

Nazywał się Jorgen Berglund i pochodził ze wsi z okolic Landskrony. Wallander nie zawsze rozumiał jego dialekt.

- Wyczyściliśmy dwie meliny - ciągnął Berglund. - W jednej z nich znaleźliśmy trzynastoletnie dziewczyny, które uciekły z domu wiele tygodni temu. Jedna z nich tak cuchnęła, że trzeba było zatykać nos. Druga ugryzła Perssona w nogę, kiedy ją wynosiliśmy. Co się w tym kraju dzieje? I dlaczego cię dzisiaj nie było?

- Wezwał mnie Hemberg - wyjaśnił Wallander. Na pytanie o to, co się dzieje w Szwecji, nie potrafił odpowiedzieć.

Załoczył kurtkę i wyszedł. W recepcji zagadnęła go dziewczyna z centrali telefonicznej.

- Jest dla ciebie wiadomość - powiedziała, podając mu przez otwór w szybie karteczkę z zanotowanym numerem telefonu.

- Co to takiego? - zapytał.

- Ktoś do ciebie, kto przedstawił się jako daleki krewny. Nawet nie był pewien, czy go pamiętasz.

- Nie podał nazwiska?

- Nie. To jakiś starszy mężczyzna.

Wallander spojrział na numer. Kierunkowy 0411. To dopiero, pomyślał. Dzwoni ojciec i przedstawia się jako daleki krewny. Którego być może nie pamiętam.

- Gdzie leży Loderup? - zapytał.

- W rejonie komendy Ystad.

- Nie o to pytam. Jaki ma kierunkowy?

- Ten sam co Ystad.

Wallander wcisnął karteczkę do kieszeni i wyszedł. Gdyby miał samochód, pojechałby prosto do Loderup zapytać ojca, co znaczył ten telefon. A potem powiedziałby mu, co czuje. Że całkowicie zrywa z nim kontakt. Nie będzie już partyjek pokera ani telefonów. Przynależby, że stawi się na pogrzebie, który ma nadzieję, nastąpi już niedługo. I tyle.

Szedł wzdłuż Fiskehamnsgatan. Następnie skręcił w Slottsgatan i doszedł do Kungsparken. Mam dwa problemy, myślał. Największy i najpoważniejszy to Mona.

Drugi to ojciec. Oba muszą jak najszybciej rozwiązać.

Usiadł na parkowej ławce i przyglądał się brodzącym w kałuży wróblom. W krzakach spał pijany mężczyzna. Właściwie powinienem go podnieść, pomyślał Wallander. Posadzić go na ławce albo wysłać do izby wytrzeźwień, żeby się wyspał. Ale teraz mi to wisi. Niech leży, tam gdzie leży.

Wstał z ławki i ruszył dalej. Wyszedł z parku na Regementsgatan. Nadal nie odczuwał głodu. Mimo to przystanął przy kiosku z kiełbaskami przy placu Gustawa Adolfa i kupił hot-doga. Po chwili ruszył z powrotem do komendy.

Dochodziło pół do drugiej. Hemberg był zajęty. Wallander nie wiedział, co ma zrobić. Właściwie powinien zwrócić się do Lohmana po instrukcje na popołudnie. Zamiast tego na nowo sięgnął po spis od Heleny. Przeglądał nazwiska. Usiłował zobaczyć kryjących się za nimi ludzi, wyobrazić sobie ich życie. Marynarze i maszyniści.

Na marginesie zapisane były daty urodzenia. Wallander odsunął papiery. Z korytarza dochodził głośny śmiech.

Starał się skoncentrować na Halenie, byłym sąsiedzie, który obstawiał zakłady ka-zał zamontować dodatkowy zamek w drzwiach, a po jakimś czasie się zastrzelił.

Wszystko wskazywało na to, że teoria Hemberga jest słuszna. Halen zabił z niewiadomego powodu Aleksandrę Batistę, a potem odebrał sobie życie.

Nic mu nie przychodziło do głowy. Teoria Hemberga wydawała się logiczna i spójna. Mimo to Wallander odnosił wrażenie, że w środku jest pusta. Jak skorupa, pod którą nie wiadomo co się kryje. W dodatku nie pasowała do sąsiada, którego Wallander dość dobrze znał. Nigdy nie zauważył, żeby Halen był agresywny czy wybuchowy. Co prawda, nawet najbardziej powściągliwy człowiek jest w stanie użyć przemocy, gdy znajdzie się pod presją. Ale czy Halen rzeczywiście pozbawił życia kobietę, z którą prawdopodobnie łączył go związek uczuciowy?

Czegoś tu brakuje, pomyślał Wallander. Pod tą skorupą jest pustka.

Bezskutecznie wyteżał myśli, z roztargnieniem zerkając na rozłożone na stole listy nazwisk. Nagle, nie wiadomo skąd, przyszło mu do głowy, żeby przejrzeć wszystkie daty urodzenia zapisane na marginesie. Ile właściwie Halen miał lat? Pamiętał, że urodził się w 1898 roku. Ale nie znał dokładnej daty. Wallander wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie ze Stefanssonem, który się natychmiast zgłosił.

- Mówi Wallander. Masz może pod ręką datę urodzenia Halena?

- Chcesz mu złożyć życzenia?

Nie lubi mnie, pomyślał Wallander. Ale dowiodę mu w swoim czasie, że jestem dużo lepszym śledczym od niego.

- Hemberg mnie prosił, żebym coś sprawdził - skłamał.

Stefansson odszedł od telefonu. Słychać było szelest przewracanych papierów.

- 17 września 1898 roku - poinformował Stefansson. - Coś jeszcze?

- To wszystko - odparł Wallander i odłożył słuchawkę.

Ponownie sięgnął po rejestr.

Na trzeciej liście znalazł to, czego podświadomie szukał. Maszynistę, Andersa Hanssona, urodzonego 17 września 1898 roku. Inicjały się zgadzają, pomyślał Wallander.

Sprawdził wszystkie pozostałe nazwiska na listach, żeby się upewnić, że nigdzie nie figuruje ta sama data urodzenia. Najbliżej niej, 19 września 1901 roku urodził się inny marynarz. Otworzył książkę telefoniczną i wyszukał numer kancelarii parafialnej³. Halen był zameldowany w tej samej parafii co on. Wybrał numer i czekał. Odezwała się jakaś kobieta. Postanowił w dalszym ciągu podawać się za funkcjonariusza wydziału

kryminalnego.

- Moje nazwisko Wallander, z policji kryminalnej - zaczął. - Chodzi o zgon, który nastąpił kilka dni temu. Dzwonię z sekcji zabójstw.

Podał nazwisko, adres i numer ewidencyjny Halena.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy Halen zawsze tak samo się nazywał?

- To znaczy czy nie zmienił nazwiska?

Do diabła, zaklął w duchu Wallander. Ludzie przeważnie nie zmieniają imion, tylko nazwiska.

- Zaraz sprawdzę - powiedziała kobieta.

To był błąd, zreflektował się Wallander. Reaguję, zanim dokładnie przemyślę swoje podejrzenia.

Zastanawiał się, czy nie odłożyć słuchawki. Obawiał się jednak, że kobieta, sądząc, że przerwało rozmowę, zacznie go poszukiwać w komendzie. Czekał więc dalej. Trwało dość długo, zanim wróciła.

3 Do 1991 roku ewidencję ludności prowadził szwedzki Kościół (przyp. tłum.).

- Właśnie rejestrują jego zgon. Dlatego tyle to trwało - wyjaśniła. - Ale miał pan rację.

Wallander wyprostował się na krześle.

- Wcześniej nazywał się Hansson. Zmienił nazwisko w 1962 roku.

Trafione, pomyślał Wallander.

- A imię? - zapytał.

- Anders.

- Powinno być Artur.

Odpowiedź go zaskoczyła.

- Zgadza się. Jego rodzice najwyraźniej lubili imiona. Nazywał się Eryk Anders Artur Hansson.

Wallander wstrzymał oddech.

- Serdecznie dziękuję za pomoc.

Po skończonej rozmowie poczuł neodpartą chęć kontaktu z Hembergiem. Ale zadawał sobie pytanie, jaką wartość tak naprawdę ma jego odkrycie. Będę działał sam, zdecydował. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej nikt się nie dowie.

Sięgnął po notes, żeby podsumować fakty. Jakie informacje zdobył dotychczas?

Siedem lat temu Artur Halen zmienił nazwisko. Wallander usłyszał kiedyś od Linnei Almqvist, że Halen wprowadził się na początku lat sześćdziesiątych. To by się zgadzało.

Przerwał pisanie i siedział z piórem w ręku. Po chwili jeszcze raz zatelefonował do kancelarii parafialnej. Odebrała ta sama kobieta.

- Zapomniałem zapytać o jedną rzecz - wyjaśnił. - Kiedy Halen zamieszkał w Rosengard?

- Chce pan powiedzieć Hansson - sprostowała kobieta. - Zaraz sprawdzę.

Tym razem wróciła szybciej.

- Został zameldowany 1 stycznia 1962.

- A gdzie mieszkał przedtem?

- Nie wiem.

- Myślałem, że to jest w dokumentach.

- Przebywał za granicą. Nie wiadomo gdzie.

Wallander skinął głową.

- To chyba wszystko. Nie będę już zawracał głowy.

Powrócił do swoich notatek. Hansson przyjeżdża do Malmo z nieznanego miejsca poza granicami Szwecji w 1962 roku i w tym samym czasie zmienia nazwisko. Kilka lat później nawiązuje romans z kobietą w Arlov. Nie wiadomo, czy wcześniej się znali. Mija następne kilka lat i kobieta zostaje zamordowana, a parę dni później Halen odbiera sobie życie. Wciąż nie jest jasne, w jakiej kolejności nastąpiły dwa ostatnie wydarzenia. W każdym razie Halen się zastrzelił. Przedtem wypełnił kupon zakładów i zamontował dodatkowy zamek w drzwiach od mieszkania. I połknął pewną ilość szlachetnych kamieni.

Wallander się skrzywił. Nie dostrzegwał żadnego punktu wyjścia. Dlaczego człowiek zmienia nazwisko?, myślał. Żeby zniknąć? Żeby nie można go było odnaleźć?

Żeby nikt nie wiedział, kim jest i kim był kiedyś?

Kim jest i kim był kiedyś?

Wallander rozmyślał. Nikt nie znał Halena. Był samotnikiem. Ale może są jacyś ludzie, którzy znali Andersa Hanssona. Tylko jak ich odnaleźć?

W tym samym momencie przypomniał sobie pewne zdarzenie z ubiegłego roku.

Wezwano go do terminalu promowego, gdzie wynikła bójka pomiędzy kilkoma podpitymi mężczyznami. Jednym z nich był duński marynarz Holger Jespersen. Wallander połapał się, że Jespersen został wciągnięty w bijatykę wbrew swojej woli, i przekonał swojego dowódcę, że mężczyzna w niczym nie zawinił. W rezultacie Jespersena zwolniono, a pozostałych mężczyzn zatrzymano. Niedługo potem Wallander zapomniał o całym zajściu.

Kilka tygodni później Jespersen stanął na progu mieszkania Wallandera w Rosengard i wręczył mu butelkę akwawitu w podzięce za pomoc. Wallander nigdy się nie dowiedział, jak Jespersen go znalazł. Zaprosił go do domu. Jespersen miał okresy, kiedy dużo pił. Kiedy pił mniej, pływał na różnych statkach jako motorzysta. Był

świetnym gawędziarzem i znał chyba wszystkich skandynawskich marynarzy z ostatnich pięćdziesięciu lat. Opowiadał, że spędza wieczory w barze w Nyhavn, gdzie w okresach trzeźwości pije kawę, a w pozostałych piwo. Zawsze w tym samym miejscu.

Chyba że akurat jest na morzu.

Teraz przypomniał się Wallanderowi. Jespersen na pewno wie, pomyślał. A w każdym razie może mi pomóc.

Szybko podjął decyzję. Jeśli będzie miał szczęście, to złapie Jespersena w Kopenhadze. Może nawet trafi na jego okres trzeźwości. Nie było jeszcze trzeciej. Resztę dnia zajmie mu podróż do Kopenhagi i z powrotem. W komendzie najwyraźniej nie jest potrzebny. Ale zanim przekroczy cieśninę Sund, musi jeszcze gdzieś zadzwonić.

Decyzja wyjazdu do Kopenhagi w pewnym sensie dodała mu odwagi. Wykręcił numer salonu fryzjerskiego, w którym pracowała Mona.

Telefon odebrała Karin, właścicielka salonu. Wallander często ją widywał. Uważał, że jest natrętna i wścibska. Jednak Mona twierdziła, że jest dobrą szefową. Przedstawił się i poprosił o przekazanie wiadomości Monie.

- Możesz z nią sam porozmawiać - powiedziała Karin. - Klientka siedzi pod suszarką.

- Jestem na zebraniu grupy dochodzeniowej - skłamał Wallander, udając zajętego.

- Powtórz jej tylko, że się odezwę najpóźniej o dziesiątej wieczorem.

Karin przyrzekła przekazać wiadomość.

Wallander spociał się w czasie tej krótkiej rozmowy. Był jednak zadowolony, że się na nią odważył.

Wyszedł z komendy i w ostatniej chwili zdążył na prom, który odchodził o trzeciej. Kiedyś często pływał do Kopenhagi. Ostatnio bywał tam czasem z Moną. Ale wcześniej zwykle sam. Chodził nieraz na przedstawienia operowe w Det Kongelige.

Lubił to miasto, o tyle większe od Malmö.

Właściwie nie przepadał za katamaranami. Podróż stała się zbyt krótka. Na starych promach bardziej się czuło odległość między Szwecją a Danią, a przeprawa przez cieśninę Sund była podróżą za granicę. Siedział przy oknie, popijając kawę. Pewnego dnia na pewno zbudują tu most, myślał. Ale ja chyba tego nie dożyję.

W Kopenhadze przywitała go mżawka. Statek przybił do Nyhavn. Odnalazł ulubioną knajpę Jespersena i wszedł do mrocznego wnętrza z uczuciem pewnego napięcia.

Była za kwadrans czwarta. Rozejrzył się po słabo oświetlonym lokalu. Przy stolikach siedzieli pojedynczy goście, popijając piwo.

Grało radio. A może adapter? Głos duńskiej piosenkarki w bardzo sentymentalnej piosence. Nigdzie nie widział Jespersena. Barman rozłożył gazetę na blacie i rozwiązywał krzyżówkę. Uniósł głowę, kiedy Wallander podszedł i zamówił piwo. Barman podał mu tuborga.

- Szukam Jespersena - powiedział Wallander.

- Holgera? Będzie za jakąś godzinę.

- Aha, więc nie jest na morzu?

Barman się uśmiechnął.

- Chyba nie mógłby wtedy przyjść za godzinę? Zwykle zjawia się koło piątej.

Wallander usiadł przy stoliku i czekał. Sentymentalny kobiecy głos zastąpił równie ckliwy głos męski. Myślał o tym, co powie Monie po powrocie do Malmo.

Będzie miał dużo czasu, żeby do niej zadzwonić, o ile Jespersen rzeczywiście przyjdzie o piątą. O policzku nawet nie wspomni. Wytłumaczy, dlaczego nawiązał kontakt z Heleną. I nie ustąpi, dopóki Mona mu nie uwierzy.

Mężczyzna przy jednym ze stolików zasnął. Barman wciąż pochylał się nad krzyżówką. Od czasu do czasu otwierały się drzwi, wpuszczającienne światło. Ktoś wchodził i wychodził. Wallander spojrzał na zegarek. Za dziesięć piąta. Jespersen nie przychodził. Poczł głód i zamówił kielbaski i kolejne piwo. Miał wrażenie, że od kiedy przyszedł, barman głowi się ciągle nad tym samym słowem.

Nadeszła piąta. Jespersen się nie pojawił. Pewnie nie przyjdzie, pomyślał Wallander. Akurat dzisiaj wpadł w swój alkoholowy ciąg.

Drzwi się otworzyły i weszły dwie kobiety, jedna zamówiła kieliszek wódki i usiadła przy stoliku.

Druga weszła za bar. Barman zostawił gazetę i zajął się butelkami na półkach. Kobieta najwyraźniej tam pracowała. Dwadzieścia po piątą drzwi się otworzyły i wszedł

Jespersen w dzinsowej kurtce i czapce z daszkiem. Podeszedł prosto do kontuaru i się przywitał. Barman natychmiast postawił przed nim filiżankę kawy i wskazał na stół, przy którym siedział Wallander. Jespersen wziął kawę i uśmiechnął się na jego widok.

- A to niespodzianka - powitał go łamanym szwedzkim. - Szwedzki stróż porządku w Kopenhadze.

- Nie stróż - poprawił go Wallander. - Policjant. Albo policjant kryminalny.

- To przecież jeden diabeł?

Jespersen zachichotał i wrzucił cztery kostki cukru do filiżanki z kawą.

- Tak czy siak, przyjemnie cię zobaczyć - powiedział. - Znam wszystkich, którzy tu przychodzą. Wiem, co będą pili i co powiedzą. A oni to samo wiedzą o mnie. Czasami myślę, żeby pójść gdzie indziej. Ale chyba się boję.

- Czego?

- Że ktoś powie coś, czego wolałbym nie słyszeć.

Wallander nie rozumiał wszystkiego, co mówi Jespersen. Częściowo z powodu gardłowo brzmiącej mieszanki szwedzko-duńskiej, częściowo dlatego, że trochę nie-jasno się wyrażał.

- Przyjechałem się z tobą zobaczyć - oznajmił Wallander. - Pomyślałem, że mógłbyś mi

pomóc.

- Każdemu innemu stróżowi porządku kazałbym iść do diabła - rzekł wesoło Jespersen. - Ale z tobą jest inaczej. Co chciałbyś wiedzieć?

Wallander opowiedział w skrócie ostatnie wydarzenia.

- Marynarz, który ma dwa nazwiska, Anders Hansson i Artur Halen - zakończył. -

Pływał jako marynarz i maszynista.

- U którego armatora?

- Sahlena.

Jespersen powoli kręcił głową.

- Powinienem być słyszeć o kimś, kto zmienił nazwisko. To nie takie częste.

Wallander starał się opisać wygląd Halena. Jednocześnie przypomniał sobie fotografię z książeczki żeglarskiej. Człowiek się zmienia. Może zresztą Halen świadomie zmienił swój wygląd wraz ze zmianą nazwiska?

- Możesz powiedzieć coś więcej? - zapytał Jespersen. - Marynarz i maszynista w jednej osobie. To niecodzienne połączenie. Do jakich portów pływał, na jakich statkach?

- Wydaje mi się, że wiele razy był w Brazylii - odparł niepewnie Wallander. - W

Rio de Janeiro, naturalnie. Ale też w jakimś Sao Luis.

- Północna Brazylia - skwitował Jespersen. - Byłem tam jeden raz. Miałem przepustkę i mieszkałem w eleganckim hotelu Casa Grande.

- Dużo więcej nie wiem - wyjaśnił Wallander.

Jespersen spojrzał na niego, wkładając kolejną kostkę cukru do kawy.

- Czy ktoś go znał? To chcesz wiedzieć? Czy znał Andersa Hanssona albo Artura Halena?

Wallander skinął głową.

- Dzisiaj nic więcej nie wymyślimy - stwierdził Jespersen. - Postaram się zasięgnąć języka. Tutaj i w Malmo. A teraz chodźmy coś zjeść.

Wallander spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Nie musi się spieszyć. Jeśli po-płynie z powrotem o dziewiątej, to zdąży jeszcze zadzwonić do Mony. Poza tym był głodny. Nie najadł się kielbaskami.

- Małże - rzucił Jespersen. - Idziemy do gospody Anne- Birte na małże.

Wallander zapłacił za swoje piwo. Ale Jespersen już wyszedł na ulicę, więc Kurt uregulował rachunek również za niego.

Gospoda Anne- Birte leżała w południowej części Nyhavn. Wieczór był wczesny, nie mieli więc kłopotu ze znalezieniem wolnego stolika. Wallander nie przejawiał

większej ochoty na małże, ale Jespersen już podjął decyzję. Kurt pozostał przy piwie, a Jespersen przeszedł na zjadliwie żółtą cytrynową oranżadę.

- Teraz nie piję - wyznał. - Ale za parę tygodni znowu zacznę.

Podczas jedzenia Wallander wysłuchał wielu zabawnie opowiedzianych historii z życia Jespersena na morzu. Pożegnali się około pół do dziewiątej.

Wallander trochę się denerwował, czy wystarczy mu pieniędzy na zapłacenie ra-chunku. Jespersen najwyraźniej czuł się zaproszony. Na szczęście wystarczyło.

Rozstali się przed gospodą.

- Zbadam sprawę i się odezwę - rzucił Jespersen na pożegnanie.

Wallander ruszył do przystani i ustawił się w kolejce. Punktualnie o dziewiątej podniesiono cumy. Kurt przymknął oczy i natychmiast zasnął.

Obudziła go panująca wokoło cisza. Ucichł szum motorów. Rozejrzał się zdziwiony. Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi między Danią a Szwecją. Po chwili w głośnikach rozległ się głos kapitana. Z powodu awarii silnika statek musi zostać odholowany do Kopenhagi. Wallander poderwał się z fotela i zapytał stewardesę, czy na pokładzie jest telefon. Dowiedział się, że nie ma.

- Kiedy będziemy w Kopenhadze?

- Niestety, dopiero za kilka godzin. Ale zapraszamy wszystkich na kanapki i napoje.

- Nie chcę kanapek - oświadczył Wallander. - Chcę telefon.

Nic jednak nie wskórał. Kiedy zwrócił się o pomoc do sternika, ten go zbył, mówiąc, że gdy na statku jest awaria, radiotelefon nie może służyć do prywatnych rozmów.

Wallander wrócił na fotel.

Mona mi nie uwierzy, myślał. To będzie ostatnia kropla goryczy. Awaria na statku skończy się ostateczną awarią naszego związku.

Wrócił do Malmo o pół do trzeciej nad ranem. Do Kopenhagi dopłynęli tuż po północy. Na telefon do Mony było już za późno. Kiedy zszedł na ląd, w Malmo lał

deszcz. Nie miał dosyć pieniędzy na taksówkę, więc szedł do domu na piechotę. Ledwie przekroczył próg mieszkania, chwyciły go gwałtowne torsje. Wkrótce dostał go-rączki.

Małże, pomyślał. Teraz naprawdę rozchoruję się na żołądek.

Resztę nocy spędził między łóżkiem a łazienką. Na szczęście przypomniał sobie, że wciąż jest na zwolnieniu. O świcie udało mu się zasnąć i przespać kilka godzin. Ale już od dziewiątej rano znów zaczął biegać do łazienki. Nie było mowy, żeby mógł w tym stanie zadzwonić do Mony. W najlepszym wypadku Mona może się domyśli, że coś się stało, że jest chory. Jednak telefon milczał. Przez cały dzień nikt się do niego nie odezwał.

Późnym wieczorem poczuł się nieco lepiej. Był zbyt osłabiony, żeby przyrządzić sobie coś do jedzenia. Wypił tylko filiżankę herbaty. Zanim powtórnie zasnął, pomy-

ślał o Jespersenie. Miał nadzieję, że on też się zatruł, bo to on namówił go na małże.

Nazajutrz na śniadanie zjadł jajko na miękko. Zaraz potem musiał znów pędzić do łazienki. Resztę dnia spędził w łóżku. Czuł, że żołądek pomалу się uspokaja.

Tuż przed piątą zadzwonił telefon. Dzwonił Hemberg.

- Szukałem cię - powiedział.
- Jestem chory.
- Grypa żołądkowa?
- Raczej małże.
- Myślałem, że mądrzy ludzie nie jedzą małży.
- Niestety ja zjadłem. I zostałem ukarany.

Hemberg zmienił temat.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Jorne przesłał wynik. Jest inaczej, niż sądziliśmy. Halen odebrał sobie życie, zanim Aleksandra Batista została uduszona. Co oznacza, że musimy inaczej ukierunkować śledztwo. Mamy do czynienia z nieznanym sprawcą.
- Może to przypadek?
- Że Batista zginęła, a Halen się zastrzelił? Z drogocennymi kamieniami w żołąd-ku? Możesz to wmawiać komuś innemu. Brakuje nam ogniwa w tym łańcuchu. Dla uproszczenia możemy stwierdzić, że w dramacie dwóch osób pojawiła się nagle trzecia. Wallander chciał powiedzieć Hembergowi, że Halen zmienił nazwisko, ale znów złapały go mdłości. Przeprosił swojego rozmówcę.
- Przyjdź jutro, jak będziesz się lepiej czuł. I jak najwięcej pij - poradził Hemberg.
- To jedyne, co pomaga.

Po zakończeniu rozmowy i kolejnej wizycie w łazience Wallander wrócił do łóż-

ka. Wieczór i noc minęły mu na granicy snu i jawy. Żołądek się uspokoił, ale czuł się nadal bardzo słaby. Śniła mu się Mona i myślał o tym, co powiedział Hemberg. Ale nie miał siły dłużej się zastanawiać ani zagłębiać się w szczegóły.

Rano poczuł się lepiej. Zjadł grzanekę i napił się słabej kawy. Żołądek nie zastraj-kował. Wywietrzył mieszkanie, by pozbyć się nieprzyjemnego zapachu. Deszczowe chmury odpłynęły i zrobiło się ciepło. W porze obiadu zadzwonił do salonu fryzjerskiego. Znów odebrała Karin.

- Możesz powiedzieć Monie, że zadzwonię wieczorem? - zapytał. - Byłem chory.
- Powtórzę jej.

Nie był pewien, czy w jej głosie brzmiała nuta sarkazmu. Nie przypuszczał, żeby Mona dużo mówiła o swoim prywatnym życiu. W każdym razie miał taką nadzieję.

Około pierwszej był gotowy do wyjścia z domu. Na wszelki wypadek zadzwonił na komendę, żeby się upewnić, czy Hemberg jest na miejscu. Bezskutecznie próbował się z nim połączyć albo dowiedzieć się, gdzie go szukać. W końcu się poddał i postanowił iść po zakupy, a po południu przygotować się do czekającej go niełatwej rozmowy z Moną.

Na obiad zjadł zupę, a potem oglądał telewizję, leżąc na kanapie. Tuż po siódmej rozległ się dzwonek do drzwi. Mona, pomyślał. Zrozumiała, że coś jest nie w porządku i przyszła.

Ale kiedy otworzył, w drzwiach ujrzał Jespersena.

- Twoje cholerne małże - rzucił ze złością. - Chorowałem przez dwie doby.

Jespersen spojrzął na niego zdziwiony.

- Nic mi nie było - odrzekł. - Małże na pewno były w porządku.

Wallander zrozumiał, że dalsza rozmowa na ten temat nie ma sensu. Wpuścił Jespersena do środka. Usiedli w kuchni.

- Dziwnie tu pachnie.

- Ten, kto tu mieszka, spędził prawie czterdzieści godzin w toalecie.

Jespersen pokręcił głową.

- To musiało być coś innego. Nie małże Anne- Birte.

- Jesteś tutaj, to znaczy, że masz coś do zakomunikowania - rzekł Wallander.

- Przydałoby się trochę kawy.

- Niestety właśnie się skończyła. Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

Jespersen kiwnął głową. Nie poczuł się urażony. E- Od małży może boleć ban-dzioch - powiedział. - Ale ciebie chyba w tej chwili gnębi coś innego?

Wallander był zaskoczony. Jespersen przejrzał go na wylot, dotarł do bolesnego punktu, czyli do Mony.

- Może masz rację - przyznał. - Ale nie mówmy o tym teraz.

Jespersen rozłożył ramiona.

- Jesteś tutaj, to znaczy, że masz mi coś do zakomunikowania - powtórzył Wallander.

- Czy mówiłem ci już, jak bardzo szanuję waszego prezydenta, Palmego?

- Palme nie jest prezydentem. Jeszcze nawet nie jest premierem. Nie przyjechałeś chyba tutaj, żeby o tym rozmawiać?

- Muszę to koniecznie powiedzieć - obstawał przy swoim Jespersen. - Ale masz oczywiście rację, przyjechałem tu z innego powodu. Jak się mieszka w Kopenhadze, to przyjeżdża się do Malmo tylko po to, żeby coś załatwić. Rozumiesz, co mam na myśli.

Wallander niecierpliwie skinął głową. Jespersen bywał nużący. Ale nie wtedy, kiedy opowiadał swoje historie. Robił to po mistrzowsku.

- Rozpytałem się trochę wśród przyjaciół w Kopenhadze - zaczął Jespersen. - Ale nic to nie dało. W Malmo poszło lepiej. Rozmawiałem ze starym elektrykiem, który przez tysiąc lat opłynął wszystkie morza. Nazywa się Ljungstrom i mieszka teraz w domu starców. Zapomniałem, jak się to miejsce nazywa. Ledwie trzyma się na nogach, ale pamięć ma w porządku.

- I co mówił?

- Nic. Ale zasugerował, żebym pogadał z pewnym gościem we Frihamnen. Znalazłem go i kiedy spytałem o Hanssona i Halena, powiedział, że „wokół tych dwóch panuje jakieś cholerne zamieszanie”.

- Co to ma znaczyć?

- A jak myślisz? Jesteś policjantem i powinieneś rozumieć to, czego zwykli ludzie nie kumają.

- Powtórz jeszcze raz.

- „Cholerne zamieszanie wokół tych dwóch”.

Teraz Wallander zrozumiał.

- Ktoś jeszcze się o nich rozpytywał, a raczej o niego?

- Yes.

- Kto taki?

- Nie znał nazwiska tego gościa. Twierdzi, że wyglądał trochę niechlujnie. No wiesz, nieogolony, marnie ubrany. Na gazie.

- Kiedy to było?

- Jakiś miesiąc temu.

Mniej więcej wtedy Halen założył dodatkowy zamek, pomyślał Wallander.

- Nie wie, jak gość się nazywa? Czy mogę sam z nim pogadać? Co to za jeden?

- Nie będzie gadał z policjantem.

- Dlaczego?

Jespersen wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest w porcie. Skrzynie z alkoholem się rozpadają, nie można się doliczyć worków z kawą.

Wallander znał te rzeczy ze słyszenia.

- Rozpytywałem się dalej - ciągnął Jespersen. - I jeśli dobrze zrozumiałem, to w parku w centrum miasta zbiera się ferajna i wspólnie obalają jedną lub dwie flaszki.

Zapomniałem, jak się ten park nazywa. Coś na P?

- Pildammsparken?

- Właśnie. I ten, co pytał o Halena, a może Hanssona, ma opadającą powiekę.

- Którą?

- Jak go odnajdziesz, to sam się przekonasz.

- Pytał o Halena albo Hanssona jakiś miesiąc temu? I przesiaduje w Pildammsparken?

- Pomyślałem, że możemy go odszukać, zanim popłynę z powrotem - zaproponował

Jespersen. - Może po drodze znajdziemy jakąś kawiarnię?

Wallander spojrzął na zegarek. Pół do ósmej.

- Dziś wieczorem nie dam rady. Jestem zajęty.

- W takim razie wracam do Kopenhagi. Pogadam z Anne- Birte o małżach.

- Może to było coś innego.

- To właśnie powiem Anne- Birte.

Wyszli na korytarz.

- Dziękuję, że przyjechałeś - rzekł Wallander. - I dzięki za pomoc.

- Nie ma za co - odparł Jespersen. - Gdyby nie ty, to zapłaciłbym wtedy grzywnę i miałbym kłopoty.

- Do zobaczenia - pożegnał go Wallander. - I żadnych małży następnym razem.

- Żadnych małży - powtórzył Jespersen i wyszedł.

Wallander wrócił do kuchni i zanotował wszystko, co usłyszał. Ktoś pytał o Halena lub Hanssona mniej więcej miesiąc temu. W tym samym czasie Halen wstawił dodatkowy zamek w drzwiach. Mężczyzna, który szukał Halena. Ma opadającą powiekę i prowadzi życie włóczęgi. Być może bywa w Pildammsp arken.

Wallander odłożył pióro. Muszę porozmawiać z Hembergim, postanowił. Tym razem mamy prawdziwy trop.

Zaczął żałować, że nie poprosił Jespersena, żeby zapytał swoich kumpli, czy nie słyszeli o kobiecie nazwiskiem Aleksandra Batista.

Zły był na siebie za to niedopatrzenie. Wyrzucał sobie, że nie potrafi pomyśleć do końca i popełnia niepotrzebne błędy.

Była za piętnaście ósma. Wallander chodził w kółko po mieszkaniu. Czuł się nieswój, mimo że żołądek już mu nie dokuczał. Pomyślał, że powinien zadzwonić na nowy numer ojca w Loderup, ale obawiał się kolejnej sprzeczki. Wystarczy mu jedna z Moną. Wyszedł się przejść po okolicy, żeby jakoś zabić czas. Wieczór był ciepły, czuło się wreszcie lato. Zastanawiał się nad planowaną podróżą do Skagen.

O pół do dziewiątej był z powrotem w domu. Usiadł przy stole w kuchni i położył przed sobą zegarek. Zachowuję się jak dziecko, pomyślał. Ale w tej chwili nie potrafię inaczej.

Zadzwonił o dziewiątej. Mona odebrała niemal od razu.

- Zanim odłożysz słuchawkę, chciałbym się wytłumaczyć - zaczął.

- Kto powiedział, że odłożę słuchawkę?

Wallander był zbity z tropu. Przygotował się do tej rozmowy. Tymczasem to Mo-na przejęła inicjatywę.

- Jestem pewna, że możesz się wytłumaczyć - stwierdziła. - Ale w tej chwili to mnie nie interesuje. Uważam, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać.

- Teraz?
- Nie dzisiaj. Jutro, jeżeli możesz.
- Mogę.
- Przyjadę do ciebie, ale dopiero koło dziewiątej. Obiecałam, że wpadnę do mamy. Ma jutro urodziny.
- Mogę zrobić kolację.
- Nie trzeba.

Wallander próbował powrócić do swoich przygotowanych wyjaśnień, ale Mona mu przerwała.

- Porozmawiamy jutro. Nie przez telefon.

Rozmowa nie trwała nawet minuty i nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że przybierze taki obrót. Mimo że wyczuł u Mony pewne niepokojące sygnały

Nie mógł usiedzieć w domu. Był zaledwie kwadrans po dziewiątej. Mam czas na spacer w Pildammsparken, pomyślał. Kto wie, czy nie natrafię na mężczyznę z opadającą powieką.

Wallander trzymał sto koron w dziesiątkach w książce na półce. Wsunął je do kieszeni, włożył kurtkę i wyszedł z domu. Było bezwietrznie i wciąż jeszcze ciepło. W

drodze do autobusu nucił melodię z opery **Rigoletto**. Puścił się biegiem do nadjeżdżającego autobusu.

Gdy dotarł do parku, opadły go wątpliwości. Park był rozległy. Wybrał się na poszukiwanie domniemanego zabójcy. W uszach rozbrzmiewał mu bezwzględny zakaz podejmowania indywidualnych działań. Wolno mi przecież spacerować, myślał. Nie noszę munduru, nikt nie wie, że jestem policjantem. Jestem po prostu samotnym mężczyzną, wyprowadzającym na spacer niewidocznego psa.

Szedł parkową ścieżką. Pod drzewem siedziała grupka młodzieży. Ktoś grał na gitarze. Zauważył kilka butelek wina. Zastanawiał się nad liczbą wykroczeń, które w dzisiejszych czasach popełniali młodzi ludzie. Lohman z pewnością by interweniował.

Ale Wallander spokojnie ich minął. Kilka lat temu mógłby być jednym z nich. A teraz jest policjantem i ma za zadanie zatrzymywać osoby spożywające alkohol w publicznym miejscu. Na tę myśl pokręcił głową. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zacznie służbę w wydziale kryminalnym. Nie po to został policjantem, żeby przeganiać młodych ludzi grających na gitarze i pijących wino w ciepły letni wieczór, ale żeby zatrzymywać prawdziwych przestępców. Tych, którzy używają przemocy, dokonują rabunków, przemycają narkotyki.

Szedł dalej w głąb parku. Z oddali dochodził odgłos ulicznego ruchu. Minęli go ciasno objęci chłopak i dziewczyna. Pomyślał o Monie. Wszystko będzie dobrze. Niebawem pojedą do Skagen, a on nigdy się więcej nie spóźni na umówione spotkanie.

Wallander przystanął. Na ławce, w niewielkiej odległości od niego, siedziało kilku mężczyzn pijących alkohol. Jeden z nich szarpał za smycz wilczura, który niespokojnie

się kręcił. Wallander powoli szedł w ich stronę. Siedzący na ławce wydawali się nie zwracać na niego uwagi. Nie zauważył nikogo z opadającą powieką. Nagle wyrósł przed nim potężnie zbudowany mężczyzna na chwiejnych nogach. Pod rozpiętą koszulą prężyły się mięśnie.

- Przydałaby się dycha - oznajmił.

W pierwszym odruchu chciał odmówić. Dziesięć koron to dużo pieniędzy. Ale zmienił zdanie.

- Szukam kumpla - zagadnął. - Gościa z opadającą powieką.

Niczego się nie spodziewał, więc tym większe było jego zdumienie, gdy usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź.

- Rune tu nie ma. Diabli wiedzą, gdzie się podziewa.

- Właśnie - potwierdził Wallander. - Chodzi o Rune.

- A ty coś za jeden? - zapytał, chwiejąc się na nogach, mężczyzna.

- Kurt. Stary kumpel.

- Nigdy cię wcześniej nie widziałem.

Wallander dał mu dziesiątkę.

- Powiedz mu, jak go zobaczysz - poprosił. - Powtórz, że był tu Kurt. Wiesz, jak Rune ma na nazwisko?

- Nawet nie wiem, czy ma jakieś nazwisko. Rune to Rune, i basta.

- A gdzie mieszka?

Mężczyzna na chwilę przestał się chwiać.

- Zdawało mi się, że jesteście kumplami? Powinieneś wiedzieć, gdzie mieszka.

- Dość często się przeprowadza.

Mężczyzna zwrócił się do siedzących na ławce.

- Ktoś wie, gdzie mieszka Rune?

Pytanie wywołało falę chaotycznych komentarzy. Najpierw przez dłuższą chwilę ustalano, o jakiego Rune chodzi. Potem nastąpiło wiele sprzecznych informacji na temat jego miejsca zamieszkania. Czy w ogóle miał jakieś mieszkanie. Wallander czekał. Owczarek stał przy ławce i nieprzerwanie ujadał.

Umieśniony mężczyzna podszedł do Kurta.

- Nie wiemy gdzie mieszka Rune - oznajmił. - Ale możemy powtórzyć, że szukał go Kurt.

Wallander skinął głową i szybko się oddalił. Mógł się naturalnie mylić. Miał jednak przeczucie, że wpadł na właściwy trop. Powinien natychmiast zawiadomić Hemberga, żeby zarządził obserwację parku. Być może mężczyzna z opadającą powieką figuruje w

policyjnej bazie danych?

Nagle opadły go wątpliwości. Zbyt szybko się zapędził. Najpierw musi odbyć poważną rozmowę z Hembergiem. Powiedzieć mu o zmianie nazwiska i o tym, czego się dowiedział od Jespersena. Niech Hemberg sam oceni, czy to jest właściwy trop.

Rozmowa z Hembergiem musi poczekać do jutra.

Wallander opuścił park i wszedł w autobus do domu.

Był wciąż osłabiony po chorobie i zasnął już przed północą.

Nazajutrz obudził się o siódmej, wyspany i wypoczęty. Czuł się na tyle dobrze, że na śniadanie wypił kawę. Następnie wykręcił numer telefonu, który przekazała mu recepcjonistka. Długo czekał, zanim ojciec podniósł słuchawkę.

- To ty? - odezwał się opryskliwie ojciec. - Nie mogłem znaleźć telefonu w tym śmietniku.

- Dlaczego dzwonisz na komendę i podajesz się za dalekiego krewnego? Nie możesz, do diabła, powiedzieć, że jesteś moim ojcem?

- Nie chcę mieć do czynienia z policją - odrzekł ojciec. - Dlaczego się u mnie nie pokazujesz?

- Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz. Cristina wytłumaczyła mi niezbyt dokładnie.

- Jesteś zbyt leniwy, żeby się dowiedzieć. To twoja wina.

Rozmowa przybrała zły obrót. Wallander uznał, że najlepiej ją jak najprędzej zakończyć.

- Przyjadę za parę dni - zapewnił. - Przedtem zadzwonię po wskazówki. Jak się tam czujesz?

- Dobrze.

- Dobrze? Tylko tyle?

- Na razie jest bałagan, ale jak tylko zrobię porządek, będzie pierwszorzędnie.

Urządzą sobie świetną pracownię w dawnej oborze.

- Niedługo przyjadę - powtórzył Wallander.

- Nie uwierzę, dopóki cię nie zobaczę - rzekł ojciec. - Na policjantach rzadko można polegać.

Zakończyli rozmowę. On może żyć jeszcze dwadzieścia lat, pomyślał zgnębiony Wallander. I przez cały ten czas będę go miał na karku. Muszę się raz na zawsze z tym pogodzić. Już teraz jest niemożliwy, a co dopiero, jak będzie jeszcze starszy.

Wallander zjadł z przyjemnością kilka kanapek, a potem pojechał autobusem do komendy. Tuż po ósmej zastukał do wpółotwartych drzwi Hemberga.

Usłyszał niewyraźny pomruk i wszedł do środka. Tym razem Hemberg nie siedział z nogami na stole. Stał przy oknie i przerzucał strony porannej gazety. Z uśmiechem spojrzął na wchodzącego Wallandera.

- Małże - powiedział. - Z małżami trzeba uważać, bo wchłaniają najgorsze świń-
stwa z wody.

- Może to nie były małże - rzekł wymijająco Wallander.

Hemberg odłożył gazetę i usiadł.

- Muszę z panem pomówić - oświadczył Wallander. - To zajmie więcej niż pięć minut.

Hemberg wskazał mu krzesło.

Wallander opowiedział, jak odkrył, że Halen kilka lat temu zmienił nazwisko.

Hemberg natychmiast nadstawił uszu. Kurt mówił dalej, o rozmowie z Jespersenem, jego wczorajszej wizycie i przechadzce w Pildammsparken.

- Facet ma na imię Rune - zakończył. - Bez nazwiska. I ma opadającą powiekę.

Hemberg rozważał w milczeniu słowa wypowiedziane przez Wallandera.

- Każdy człowiek ma jakieś nazwisko - odezwał się po chwili. - A w takim mie-
ście jak Malmo nie ma tak wielu osób, których znakiem szczególnym jest opadająca
powieka.

Potem zmarszczył czoło.

- Mówiłem ci już raz, żebyś nie działał na własną rękę. Ponadto powinieneś był
już wczoraj zwrócić się do mnie lub do kogoś z naszego wydziału. Zgarnęlibyśmy tych z
parku. Po wytrzeźwieniu i dokładnym przesłuchaniu ludzie zazwyczaj przypo-minają
sobie to i owo. Spisałeś ich nazwiska?

- Nie mówiłem, że jestem z policji. Przedstawiłem się jako kolega Rune.

Hemberg pokręcił głową.

- Tego nie wolno ci robić. My działamy w sposób jawny, chyba że są szczególne powody,
aby postępować inaczej.

- Domagał się pieniędzy - bronił się Wallander. - Inaczej nawet bym się nie zatrzymał.

Hemberg baczenie mu się przyglądał.

- Co robiłeś w Pildammsparken?

- Poszedłem się przejść.

- Nie przeprowadzałeś czegoś w rodzaju prywatnego śledztwa?

- Czułem potrzebę ruchu.

Na twarzy Hemberga malowało się niedowierzanie.

- Jednym słowem znalazłeś się w Pildammsparken zupełnie przypadkowo?

Wallander nie odpowiedział. Hemberg wstał z krzesła.

- Posadzę do tej sprawy kilku pracowników. Od dzisiaj musimy zdecydowanie po-szerzyć
zakres śledztwa. Sądziłem, że to Halen zabił Batistę. Każdy jest omylny. Teraz trzeba

wszystko zacząć od początku.

Wallander opuścił biuro Hemberga i zszedł piętro niżej. Miał nadzieję, że nie wpadnie na Lohmana.

Wyglądało jednak na to, że szef na niego czyhał. W tej samej chwili wyszedł z pokoju zebrań z kubkiem kawy w ręku.

- Właśnie się zastanawiałem... - zaczął.
- Byłem na zwolnieniu - pospieszył z odpowiedzią Wallander.
- Mimo to widziano cię w budynku.
- Jestem już zdrowy. Zatrąłem się małżami.
- Czeka cię pieszy patrol - poinformował Lohman. - Zgłoś się do Hakanssona.

Wallander poszedł do pokoju, gdzie przydzielano zadania. Hakansson, wysoki, gruby i wiecznie spocony policjant, siedział przy stole, przeglądając gazetę. Podniósł wzrok na Wallandera.

- Centrum miasta - rzucił. - Wittberg zaczyna o dziewiątej. Kończy o trzeciej. Idź razem z nim.

Wallander skinął głową i poszedł do szatni. Wyciągnął z szafki mundur. Zaraz po nim przyszedł Wittberg. Wittberg miał trzydzieści lat i marzył o tym, żeby pewnego dnia usiąść za kierownicą rajdowego samochodu. Nie przestawał o tym mówić.

Wyszli z komendy kwadrans po dziewiątej.

- Przy ciepłej pogodzie zawsze jest spokojniej - stwierdził Wittberg. - Bez niepotrzebnych incydentów dzień może minąć bezstresowo.

Dzień rzeczywiście minął spokojnie. Jediną interwencją było upomnienie rowe-rzysty, który jechał po niewłaściwej stronie ulicy. Wallander zdjął mundur tuż po trzeciej.

O czwartej był już w domu. Po drodze z przystanku zrobił zakupy, na wypadek gdyby Mona zmieniła zdanie i chciała jednak coś zjeść.

Wziął prysznic i się przebrał. Było pół do piątej. Do przyjscia Mony pozostało jeszcze cztery i pół godziny. Mogę spokojnie przejść się jeszcze raz po Pildammsparken, pomyślał. Zwłaszcza jeśli pójdę z moim niewidzialnym psem.

Trochę się wahał. Hemberg wydał mu wyraźne polecenie.

Mimo to wyruszył w drogę. O pół do szóstej kroczył tą samą ścieżką co poprzedniego wieczoru. Tym razem nie było młodzieży z gitarą popijającej wino. Ławka, na której siedzieli podpici mężczyźni, świeciła pustkami. Wallander postanowił pospace-rować jeszcze przez kwadrans, a potem wrócić do domu. Zszedł w dół do stawu i przyglądał się przez chwilę pływającym kaczkom. Z oddali dochodził śpiew ptaków.

Od drzew buchała intensywna woń lata. Minęła go para starszych ludzi. Słyszał urywane słowa, coś o czyjejś „biednej siostrze”. Nie dowiedział się, czyja to była siostra i dlaczego jej żalowali.

Już miał zawrócić, gdy dostrzegł dwóch mężczyzn siedzących na ziemi, w cieniu drzewa. Nie umiał powiedzieć, czy byli trzeźwi. Jeden z nich się podniósł. Chwiał się na nogach. Jego kolega przysnął pod drzewem. Głowa zwisała mu na piersi. Wallander podszedł bliżej. Nie pamiętał go z poprzedniego wieczoru. Mężczyzna miał na sobie znoszone ubranie, a między nogami pustą butelkę po wódce.

Wallander przykucnął, żeby przyjrzeć się jego twarzy. W tej samej chwili usłyszał kroki na żwirowej ścieżce. Odwrócił się i ujrzał dwie dziewczyny. Jedna z nich wyglądała znajomo, ale nie potrafił sobie przypomnieć, skąd ją zna.

- To ten cholerny policjant - odezwała się dziewczyna. - Uderzył mnie podczas demonstracji.

Nagle ją sobie przypomniał. To była dziewczyna, która tydzień wcześniej naskoczyła na niego w kawiarni.

Wyprostował się. W tej samej chwili dostrzegł w twarzy drugiej dziewczyny, że coś się dzieje za jego plecami. Szybko się odwrócił. Mężczyzna, który siedział oparty o drzewo, wcale nie spał. Teraz stał na nogach i trzymał w ręku nóż.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wallander pamiętał tylko, że dziewczyny krzyknęły i zaczęły uciekać. Podniósł ramiona, żeby się osłonić. Ale było za późno.

Nie zdążył odparować ciosu. Dosięgnął go prosto w pierś. Poczuł, jak zalewa go ciepły mrok.

Jeszcze zanim upadł na żwirową aleję, jego świadomość przestała rejestrować to, co się działo naokoło.

Potem była tylko mgła. Albo gęste morze, białe i ciche.

Odzyskał przytomność po czterech dniach. Przeżył dwie skomplikowane operacje.

Nóż musnął serce.

Ale przeżył. Stopniowo wydobywał się z mgły. Kiedy piątego dnia wreszcie otworzył oczy, nie wiedział, co się stało i gdzie się znajduje.

Ale rozpoznał twarz obok łóżka.

Twarz, która była dla niego wszystkim. Uśmiechniętą twarz Mony.

EPILOG

Z początkiem września lekarz, po kolejnym badaniu, oznajmił Wallanderowi, że za tydzień może wracać do pracy. Kurt od razu zatelefonował do Hemberga. Hemberg zjawił się u niego późnym popołudniem. Wallander spotkał go na klatce schodowej.

Właśnie wyrzucił śmieci i wracał do mieszkania.

- Tu się wszystko zaczęło - rzucił Hemberg, wskazując na drzwi Halena.

- Na razie się nikt nie wprowadził - odparł Wallander. - Meble stoją, jak stały.

Nie usunięto szkód po pożarze. Zawsze, kiedy wychodzę i wracam, wydaje mi się, że czuję zapach dymu.

Pili kawę, siedząc w kuchni. Wrzesień był w tym roku wyjątkowo chłodny. Hemberg miał pod płaszczem ciepły sweter.

- Wczesna jesień - zauważył.

- Pojechałem odwiedzić ojca - powiedział Wallander. - Przeniósł się za miasto, do Loderup. Tam na równinie jest ładnie.

- Nie jestem w stanie pojąć, jak można dobrowolnie się osiedlić pośród tego błota

- odparł niechętnie Hemberg. - Niech tylko przyjdzie zima, wszystkich ich tam zasy-pie.

- Chyba się tam dobrze czuje - stwierdził Wallander. - Nie przypuszczam, żeby pogoda miała dla niego większe znaczenie. Od rana do wieczora maluje.

- Nie wiedziałem, że masz ojca artystę.

- Maluje wciąż ten sam motyw - wyjaśnił Wallander. - Albo sam krajobraz, albo krajobraz z głuszcem.

Wstał i ruszył do pokoju, gdzie wisiał obraz. Hemberg poszedł za nim.

- Mam sąsiada, który ma taki sam - zauważył Hemberg. - Zdaje się, że mają po-wodzenie.

Wrócili do kuchni.

- Popełniłeś wszystkie możliwe błędy - rzekł Hemberg. - Ale wytknąłem ci to już wcześniej. Nie prowadzi się samotnie śledztwa, nie interweniuje się w pojedynek. By-łeś kilka centymetrów od śmierci. Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczyło. Przynajmniej tego, jak nie należy postępować.

Wallander milczał. Hemberg miał całkowitą rację.

- Muszę przyznać, że się zawzięłeś. To ty odkryłeś, że Halen zmienił nazwisko.

Prędzej czy później my również byśmy do tego doszli. I odnaleźlibyśmy Rune Bloma.

Ale myślałeś prawidłowo i logicznie.

- Zadzwoiłem do pana z ciekawości - przyznał Wallander. - Jest wiele rzeczy, których wciąż nie rozumiem.

Hemberg poinformował go, że Rune Blom się przyznał. Znalezione również do-wody na to, że to on zamordował Aleksandrę Batistę.

- Wszystko zaczęło się w 1954 roku. Blom opowiedział całą historię. Razem z Halenem, czy raczej z Hanssonem, bo tak się wtedy nazywał, należeli do załogi statku pływającego do Brazylii. W Sao Luis weszli jakimś sposobem w posiadanie drogich kamieni. Twierdzi, że kupili je za parę groszy od jakiegoś Brazylijczyka, który nie orientował się w ich prawdziwej wartości. Prawdopodobnie oni też nie wiedzieli, ile są warte. Nigdy się nie dowiemy, czy naprawdę je kupili, czy też ukradli. Postanowili podzielić się łupem. Ale Blom wylądował w brazylijskim więzieniu za zabójstwo. A Halen skorzystał z okazji, bo to on miał kamienie. Zmienił nazwisko, po kilku latach zwolnił się z marynarki i ukrył się

w Malmo. Spotkał Batistę i liczył na to, że Blom resztę życia spędzi w brazylijskim więzieniu. Ale Bloma w końcu wypuścili i wtedy zaczął szukać Halena. W jakiś sposób Halen dowiedział się, że Blom pojawił się w Malmo. Wystraszył się i zamontował dodatkowy zamek w drzwiach. W dalszym ciągu spotykał się z Batistą. Blom deptał mu po piętach. Twierdzi, że tego samego dnia, kiedy wyszedł jego adres, Halen popełnił samobójstwo. Miałby się tak przerazić, że poszedł do domu i się zastrzelił. Nie jestem tego taki pewien. Dlaczego nie dał Blomowi kamieni? Dlaczego je połączył i potem się zastrzelił? Jak człowiek może być tak za-chłanny, że woli śmierć niż utratę pieniędzy?

Hemberg pił kawę i w zamyśleniu spoglądał przez okno. Na dworze padało.

- Resztę już wiesz - ciągnął. - Blom nie znalazł kamieni. Podejrzewał, że są u Batisty. Przedstawił się jako przyjaciel Halena, a ona, niczego nie podejrzewając, wpuściła go do środka. Wtedy ją zamordował. Zresztą nie pierwszy raz dopuścił się przemocy. Staje się szczególnie brutalny, jak wypije. Ma na swoim koncie dotkliwie pobicia. I zabójstwo w Brazylii. Tym razem padło na Batistę.

- Dlaczego zadał sobie trud, żeby wrócić i podpalić mieszkanie? Przecież ryzykował, że wpadnie?

- Podobno z wściekłości, że nie odnalazł kamieni. Myślę, że mówi prawdę. To skończony drań. A może się bał, że gdzieś, w jakichś papierach, znajduje się jego nazwisko. Nie zdążył wszystkiego sprawdzić, bo go zaskoczyłeś. Ale oczywiście ryzykował, że go ktoś zobaczy.

Wallander pokiwał głową. Teraz wszystko było jasne.

- Właściwie mamy do czynienia z paskudnym morderstwem i pazernym facetem, który się zastrzelił. Jako kryminalny wiele razy się z tym zetkniesz. Nigdy w ten sam sposób. Ale motywy są mniej lub bardziej podobne.

- O to właśnie chciałem zapytać - wtrącił Wallander. - Wiem, że popełniłem mnóstwo błędów.

- Nie przejmuj się tym - przerwał mu Hemberg. - Zaczynasz u nas pierwszego października. Nie wcześniej.

Wallander się nie przesłyszał. Rozpierała go radość. Ale nic po sobie nie dał poznać, tylko kiwnął głową.

Hemberg posiedział jeszcze chwilę, a potem wyszedł na deszcz. Wallander patrzył przez okno, jak tamten odjeżdża samochodem. Bezwiednie wodził palcami po bliźnie na piersi.

Nagle przypomniał sobie słowa, które kiedyś przeczytał. Nie pamiętał gdzie.

Jest czas rodzenia i czas umierania.

Żyję, pomyślał. Miałem szczęście.

Postanowił, że nigdy nie zapomni tych słów.

Jest czas rodzenia i czas umierania.

Na zawsze już będą jego prywatnym zaklęciem.

Deszcz bębnił w szyby.

Krótko potem przyszła Mona.

Tego wieczoru długo planowali przyszłoroczny wyjazd do Skagen - ten sam, który minionego lata nie doszedł do skutku.

HENNING MANKELL

Szczelina

2



Szczelina

cdcd

Wallander spojrział na zegarek. Za kwadrans piąta. Siedział w pokoju w komendzie w Malmo. Była Wigilia 1975 roku. Obaj koledzy, z którymi dzielił pokój, mieli wolne. On sam miał pełnić służbę jeszcze przez niespełna godzinę. Wstał i podszedł do okna. Padał deszcz. Na Boże Narodzenie i tym razem nie będzie śniegu. Tak jak w ubiegłym roku. Spoglądał z roztargnieniem przez zachodzącą parą szybę. Ziewnął sze-roko, aż coś przeskokczyło mu w żuchwie. Ostrożnie zamknął usta. Czasami, kiedy ziewał, dostawał skurczu mięśnia pod brodą.

Usiadł z powrotem za biurkiem, na którym leżały rozłożone papiery. Nie było tam niczego ważnego. Odchylił się do tyłu na krześle, oddając się błogim myślom o nadchodzących świątach. Prawie tydzień wolnego. Aż do sylwestra. Wyciągnął nogi na stole i zapalił papierosa. Natychmiast zaczął kaszleć. Postanowił rzucić palenie. Ale nie w ramach noworocznych zobowiązań. Zbyt dobrze znał siebie, żeby wierzyć, że mu się uda. Potrzebuje dużo czasu, żeby się oswoić z tą decyzją.

Po prostu obudzi się pewnego dnia z przekonaniem, że to ostatni dzień, kiedy za-pala papierosa.

Spojrzał powtórnie na zegar. Właściwie mógłby już wyjść. Grudzień był w tym roku wyjątkowo spokojny. W wydziale przestępstw kryminalnych nie toczyło się żadne poważne dochodzenie. Rodzinne awantury które zazwyczaj mają miejsce podczas świąt, przypadną w udziale innym.

Zdjął nogi ze stołu i zadzwonił do domu. Mona od razu odebrała telefon.

- Tu Kurt.

- Tylko nie mów, że się spóźnisz.

Ogarnęła go nagła irytacja. Nie potrafił jej ukryć.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że już jadę. Może niepotrzebnie?

- Coś taki zły?

- Ja zły?

- Słyszałaś, co powiedziałam.

- Słyszałem. A ty słyszysz? Że dzwonię, żeby powiedzieć, że niedługo będę w domu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Tylko jedź ostrożnie.

Rozmowa dobiegła końca. Wallander nadal siedział ze słuchawką w ręku. Potem cisnął ją na widełki.

Nie potrafimy już nawet rozmawiać przez telefon, pomyślał podenerwowany. Mona wszczyna kłótnie z byle powodu. I pewnie to samo mówi o mnie.

Siedział, wpatrując się w pełzający w górę dym z papierosa. Usiłował nie myśleć o Monie i o sobie. O coraz częstszych kłótniach i pretensjach. Ale z trudem mu to przychodziło. Coraz częściej bronił się przed myślą, że ich małżeństwo trzyma się tylko z powodu pięcioletniej córki, Lindy. Nie wyobrażał sobie życia bez żony i córeczki.

Nie skończył jeszcze trzydziestu lat i ma wszelkie predyspozycje, żeby zostać świetnym policjantem. Gdyby chciał, mógłby zrobić prawdziwą karierę. Upewniało go w tym sześć przepracowanych w policji lat i szybki awans na asystenta komisarza.

Mimo że często dostrzegał swoje braki. Ale czy tego właśnie pragnie? Mona namawiała go, żeby starał się o pracę w jednej z firm ochroniarskich, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Wycinała ogłoszenia, przekonując go, że będzie miał o wiele wyższe zarobki i bardziej regularne godziny pracy. Zdawał sobie jednak sprawę, że prawdziwą

przyczyną, dla której chciała, żeby zmienił zawód, był lęk. Lęk, że znów mu się coś przytrafi.

Podszedł do okna. Wyglądał przez zaparowaną szybę na ulice Malmo.

To już ostatni rok w tym mieście. Latem rozpocznie służbę w Ystad. Byli już po przeprowadzce. Od września mieszkali w centrum Ystad, na Mariagatan. Ani przez chwilę się nie wahali, mimo że z punktu widzenia jego kariery przeprowadzka do ma-

łego miasta nie była może najlepszym wyborem. Mona chciała, żeby Linda dorastała w mniejszym mieście, a Wallander odczuwał potrzebę zmiany. Dodatkowym powodem było to, że jego ojciec od kilku lat mieszkał w Osterlen. A co ważniejsze, Monie udało się tanio kupić salon fryzjerski.

Wallander wielokrotnie odwiedzał komendę w Ystad, żeby poznać swoich przyszłych kolegów. Najbardziej spodobał mu się jeden z nich, Rydberg, mężczyzna w średnim wieku.

Zanim go poznał, dochodziły go słuchy, że Rydberg jest opryskliwy i antypatyczny. Ale Wallander już w pierwszej chwili odniósł całkiem przeciwne wrażenie. Było oczywiste, że Rydberg chodzi własnymi drogami, lecz Wallanderowi najbardziej za-imponowała niezwykła łatwość, z jaką w kilku słowach definiował oraz analizował

przestępstwa, z którymi mieli do czynienia.

Wrócił do biurka i zgasił papierosa. Piętnaście po piątej. Teraz już może jechać.

Zdjął kurtkę z wieszaka. Będzie jechał powoli i ostrożnie.

Może rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy, że jego głos przez telefon brzmi nieprzyjemnie. Jest przemęczony. Dobrze mu zrobi kilka wolnych dni. Mona to chyba zrozumie, kiedy będzie miał czas jej wytłumaczyć.

Włożył kurtkę i sprawdził, czy ma w kieszeni kluczyki od peugeota.

Na ścianie, tuż przy wyjściu, wisiało małe lusterko. Wallander się w nim przejrzał.

Z przyjemnością patrzył na swoje odbicie. Wkrótce skończy trzydzieści lat, tymczasem twarz w lusterku mogłaby należeć do dwudziestodwulatka.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi. Wszedł Hemberg, jego bezpośredni szef od czasu, gdy zaczął pracę w kryminalnym. Współpraca układała im się raczej dobrze. Jeżeli dochodziło do jakichś tarć, to głównie z powodu wybuchowego usposobienia Hemberga.

Wallander wiedział, że Hemberg będzie pełnił służbę zarówno w święta Bożego Narodzenia, jak i w Nowy Rok. Był kawalerem i zgodził się zastąpić oficera, który miał liczną rodzinę.

- Ciekaw byłem, czy cię jeszcze zastanę - odezwał się Hemberg.

- Właśnie zamierzałem wyjść - odparł Wallander. - Zmyć się pół godziny wcześniej.

- Mnie to nie przeszkadza.

Wallander od razu się domyślił, że Hemberg ma do niego jakąś sprawę.

- Chciałeś coś ode mnie - powiedział.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Będziesz jechał do Ystad - zaczął. - Przyszło mi do głowy, że mógłbyś po drodze wstąpić w jedno miejsce. Mam trochę za mało ludzi. To z pewnością nic poważnego.

Wallander czekał niecierpliwie na dalszy ciąg.

- Dzwoniła tu dziś kilka razy pewna kobieta, właścicielka małego sklepu spożywczego obok domu meblowego w Jagersro. W pobliżu stacji benzynowej OK.

Wallander znał to miejsce. Hemberg rzucił okiem na kartkę, którą trzymał w ręku.

- To starsza osoba, nazywa się Elma Hagman. Twierdzi, że przez całe popołudnie kręcił się pod sklepem jakiś dziwny typ.

Wallander daremnie czekał na dalszy ciąg.

- To wszystko?

Hemberg rozłożył ramiona.

- Na to wygląda. Przed chwilą znowu dzwoniła. Dlatego pomyślałem o tobie.

- Chcesz, żebym podjechał i z nią porozmawiał?

Hemberg rzucił okiem na zegar. E- Ona zamyka o szóstej. Akurat zdążysz. Myślę, że coś sobie uroiła. Może przynajmniej ją uspokoisz. I życz jej wesołych świąt.

Wallander szybko obliczył, że podjechanie do sklepu zajmie mu najwyżej dziesięć minut.

- Zajrzę do niej - zapewnił. - W końcu jeszcze jestem na służbie.

Hemberg kiwnął głową.

- Wesołych świąt - powiedział. - Do zobaczenia w sylwestra.

- Mam nadzieję, że wieczór będzie spokojny.

- Burdy zaczynają się późnym wieczorem - stwierdził ponuro Hemberg. - Można mieć tylko nadzieję, że dzisiaj obejdzie się bez przemocy.

Pożegnali się w korytarzu. Wallander popędził do samochodu, który tego dnia postawił od strony głównego wejścia. Rozpadało się na dobre. Włączył kasetę z muzyką i podkręcił dźwięk. Miasto mieniło się od rozświetlonych witryn sklepowych i ulicznych dekoracji. Wnętrze auta wypełniał głos Jussiego Bjorlinga. Wallander z radością myślał o czekających go wolnych dniach.

Omam nie zapomniał o prośbie Hemberga. Przypomniat sobie o niej, kiedy dojeżdżał do ostatniego ronda przed zjazdem na Ystad. Przyhamował gwałtownie i zmienił

pas. Skręcił koło domu meblowego, który już był zamknięty. Stacja benzynowa również była nieczynna. Ale w sklepie spożywczym, tuż za warsztatem samochodowym, świeciło się w oknach. Wallander zatrzymał się i wysiadł. Kluczyki zostawił w stacyj-ce i nie domknął drzwi. W samochodzie paliła się lampka, ale nie zawrócił. To kwestia kilku

minut.

Nadal lało. Rozejrzył się pospiesznie. Nikogo nie zauważył. Słyszał przytłumiony szum samochodów. Zdziwił się, że sklepik spożywczy dawnego typu ostał się jeszcze w okolicy, gdzie znajdowały się niemal wyłącznie domy towarowe i drobny przemysł.

Podbiegł do wejścia i otworzył drzwi.

Gdy tylko wszedł do środka, poczuł, że coś jest nie w porządku.

W powietrzu wisiało coś groźnego.

Nie wiedział, skąd to wrażenie. Przystanął przy drzwiach. W sklepie było pusto i zupełnie cicho.

Zbyt cicho, przemknęło mu przez głowę.

Zbyt cicho i spokojnie. Gdzie jest Elma Hagman?

Ostrożnie podszedł do lady. Pochylił się i spojrzął na podłogę za ladą. Nikogo.

Kasa była zamknięta. Wokół panowała ogłuszająca cisza. Pomyślał, że powinien stamtąd wyjść. Znaleźć jakiś automat i zadzwonić po posiłki. Wystarczy, że przyjedzie jeszcze jeden policjant.

Postanowił zbagatelizować swoje pierwsze wrażenie. Nie może się przecież kierować wyłącznie przecuciem.

- Jest tam kto? - zawołał. - Pani Hagman?

Żadnej odpowiedzi.

Okrzyknął lady i znalazł się przed drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Zapukał. Cisza. Powoli nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Otworzył je ostrożnie.

Potem wszystko zaczęło dziać się jednocześnie i z błyskawiczną prędkością. W pokoju obok leżała na brzuchu kobieta, twarzą do ziemi. Zobaczył przewrócone krzesło i krew wokół jej głowy. Stał jak wryty, mimo że w głębi duszy spodziewał się najgorszego. Cisza była zbyt gęsta. Obejrzał się do tyłu i uprzytomnił sobie, że ktoś za nim stoi. Gwałtownie przykucnął, wykonując pełny obrót całym ciałem, i w tej samej chwili dostrzegł cień na wysokości swojej twarzy. Potem ogarnęła go ciemność.

Otworzył oczy i natychmiast poznał, gdzie się znajduje. Bolała go głowa i odczuwał mdłości. Siedział na podłodze za ladą. Musiał na krótko stracić przytomność po tym, gdy rzucił się na niego jakiś nieokreślony cień i zdzielił go w głowę. To ostatnie, co pamiętał, i to bardzo wyraźnie. Usiłował się podnieść, ale okazało się, że nogi i ramiona ma skrępowane sznurem, który był przymocowany do czegoś za jego plecami.

Nie mógł zobaczyć do czego.

Sznur wyglądał znajomo. Po chwili uświadomił sobie, że to jego własna linka do holowania, którą zawsze trzymał w bagażniku.

Natychmiast wróciła mu pamięć. Przypomniał sobie martwą kobietę w pokoju na

zapleczu. To na pewno Elma Hagman. Później cios w tył głowy. I teraz siedzi skrępowany własną liną holowniczą. Rozejrzał się dokoła, nasłuchując. Ktoś jest w pobliżu. Ktoś, kogo należy się bać. Fale mdłości przyplływały i odpływały. Napiął ciało, usiłując poluzować linkę. Czy dałby radę się uwolnić? Przez cały czas wyęczał słuch. Wciąż panowała cisza, ale teraz inna niż wtedy, kiedy wszedł do sklepu. Szarpał więzy. Nie był mocno związany, ale sznur krępował go w pozycji, która uniemożliwiała użycie pełnej siły.

Czuł narastający lęk. Ktoś zamordował Elmę Hagman, a jego zdzielił w głowę i związał. Jak to powiedział Hemberg? Elma Hagman dzwoniła i donosiła, że pod sklepem kręci się jakiś dziwny osobnik. Okazało się, że miała rację. Wallander usiłował

zachować spokój. Mona wie, że jest w drodze do domu. Jak nie przyjedzie, zadzwoni zaniepokojona do Malmo. Hemberg wie, że Wallander pojechał do sklepu Elmy Hagman, i w ciągu kilku minut wyśle na miejsce radiowozy.

Wallander nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza. Wyciągał szyję, żeby zobaczyć, czy szuflada kasy jest otwarta. Podejrzewał mord rabunkowy. Jeśli szuflada jest pusta, to morderca z pewnością uciekł. Wypręzał się, jak tylko mógł, ale nie sięgał wzrokiem do lady. Mimo to był przekonany, że w sklepie został tylko on i martwa właścicielka.

Człowiek, który ją zamordował, a potem go ogłuszył, musi już być daleko. Tak samo jak jego samochód, w którym zostawił kluczyki.

Wallander szukał sposobu, aby zrzucić więzy. Wykręcał się na wszystkie strony i w ten sposób zaobserwował, że prostując maksymalnie lewą nogę, może poluzować linkę. Wtedy przekręci całe ciało i zobaczy, w jaki sposób przymocowano sznur do ściany.

Zaczął się pocić. Nie wiedział, czy z wysiłku, czy może ze strachu. Sześć lat temu, jako młody, początkujący policjant, został ugodzony nożem. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążył zareagować, nie zdążył się osłonić. Ostrze noża przeszło mu pierś, tuż w okolicy serca. Tamtym razem strach pojawił się dopiero później. Teraz towarzyszył mu od samego początku. Tłumaczył sobie, że nic gorszego już się stać nie może. Prędzej czy później się oswobodzi, prędzej czy później zaczną go szukać.

Przerwał na chwilę próby uwolnienia lewej nogi, żeby złapać oddech, i nagle z całą siłą dotarła do niego groza sytuacji. Stara kobieta została zamordowana w swoim sklepie w wigilię Bożego Narodzenia. Brutalność tego czynu była nie do pojęcia.

Coś takiego się w Szwecji nie zdarza. Tym bardziej w Wigilię.

Dalej szarpał więzy. Powoli, stopniowo poluzowywał sznur. Z trudem udało mu się wykręcić ramię, żeby spojrzeć na zegarek. Dziewięć po szóstej. Mona zacznie się niebawem zastanawiać, co się z nim dzieje. Po upływie pół godziny zacznie się niepokoić. Najpóźniej o pół do ósmej powinna zadzwonić do Malmo.

Tok myśli przerwał mu jakiś dźwięk w pobliżu. Wstrzymał oddech i cały zamienił się w słuch. Znów skrzypiący dźwięk. Ten sam, który słyszał, wchodząc do sklepu. To drzwi wejściowe. Ktoś wchodził do środka. I szedł bardzo cicho.

Po chwili zauważył mężczyznę.

Stał obok lady i patrzył na Wallandera.

Miał na sobie grubą kurtkę, rękawiczki i czarną kominiarkę naciągniętą na głowę.

Średniego wzrostu i chudej postury. Stał zupełnie nieruchomo. Wallander usiłował pochwycić jego wzrok, ale w słabym świetle jarzeniówki na suficie widział tylko dwie małe dziurki wycięte na oczy.

Mężczyzna trzymał w rękach żelazną rurę albo rękojeść francuskiego klucza.

Stał nieporuszony.

Wallandera obleciał strach i uczucie bezsilności. Mógł najwyżej krzyknąć. Ale to nie miało sensu. W pobliżu nikogo nie było i nikt by go nie usłyszał.

Mężczyzna w kominiarce wciąż mu się przyglądał.

Następnie szybko się odwrócił i odszedł.

Wallanderowi serce waliło jak oszalałe. Nasłuchiwał odgłosów. Drzwi? Nie, nic nie słyhać. Czyli mężczyzna nadal jest w sklepie.

Przez głowę przelatywały mu gorączkowe myśli. Dlaczego on nie wychodzi? W jakim celu przyszedł? Na co czeka?

Wrócił do sklepu, myślał Wallander. Sprawdził, czy siedzę związany tam, gdzie mnie zostawił.

Jest tylko jedno wytłumaczenie. On na kogoś czeka. I ten ktoś powinien już tu być.

Starał się wyciągać kolejne wnioski, jednocześnie wciąż nasłuchiwał.

Mężczyzna w kominiarce i rękawiczkach planuje napad rabunkowy. Wybiera leżący na uboczu sklep Elmy Hagman. Dlaczego ją zamordował? Nie mogła przecież stawiać oporu. A on nie wygląda na podnieconego jak człowiek pod wpływem narkotyków.

Dokonał rabunku i wciąż tu siedzi. Nie ucieka. Mimo że chyba się nie spodziewał, że zabije człowieka. Ani że ktoś się zjawi w sklepie w Wigilię, na chwilę przed zamknięciem. A jednak zostaje. Czeka.

Wallander czuł, że coś się nie zgadza. To nie był zwyczajny rabunek. Dlaczego mężczyzna nie ucieka? Coś go obezwładniło? Wiedział, że trzeba znaleźć odpowiedź

na to pytanie. Ale nie potrafił dopasować do siebie poszczególnych elementów.

Istniała jeszcze dodatkowa, niezwykle ważna okoliczność.

Mężczyzna w kominiarce nie wiedział, że Wallander jest policjantem.

Zapewne przypuszczał, że do sklepu zawitał spóźniony klient. Wallander nie potrafił rozstrzygnąć, czy to źle, czy dobrze.

Znów zaczął naprężyć lewą nogę, starając się równocześnie nie spuszczać wzroku z lady. Człowiek w kominiarce był niedaleko. I poruszał się bezgłośnie. Linka holownicza

pomału się rozciągała. Wallanderowi pot spływał po ciele. Niebywałym wysiłkiem udało mu się uwolnić nogę. Siedział bez ruchu. Po chwili ostrożnie się odwrócił. Linka była przeciągnięta przez wspornik podtrzymujący półkę. Wallander uświadomił sobie, że przy próbie oswobodzenia pociągnie za sobą całą półkę. Tymczasem pomagając sobie wolną nogą, stopniowo ściągał linkę z drugiej nogi. Rzucił okiem na zegarek. Minęło dopiero siedem minut. Mona chyba jeszcze nie dzwoniła do Malmo. Ciekawe, czy już zaczęła się denerwować. Wallander dalej uwalniał się z więzów. Teraz nie miał właściwie odwrotu. Człowiek w kominiarce od razu zauważył, że Wallander coś kombinuje. Nie mógłby się wtedy obronić.

Działał najszybciej i najciszej, jak tylko potrafił. Obie nogi miał już wolne, zaraz potem lewe ramię. Jeszcze tylko prawe i już będzie mógł wstać na nogi. Co dalej, nie wiedział. Nie miał broni. Będzie musiał się bronić rękami. Odniósł jednak wrażenie, że mężczyzna w kominiarce jest niezbyt silny. W dodatku niczego się nie spodziewa.

Zaskoczenie było główną bronią Wallandera. To jedyne, czym dysponował. Potem jak najszybciej opuści sklep. Nie będzie niepotrzebnie przeciągał bójki. Sam niczego nie zdoła. Musi jak najprędzej skontaktować się z Hembergiem.

Prawa ręka była wolna. Linka holownicza leżała obok. Czuł sztywność w stawach. Ostrożnie przyklęknął i wyjrzał zza lady.

Mężczyzna w kominiarce stał odwrócony plecami.

Po raz pierwszy Wallander mógł się przyjrzeć jego całej postaci. Pierwsze wrażenie się potwierdziło - był rzeczywiście niezwykle chudy. Nosił ciemne dżinsy i białe sportowe buty.

Stał zupełnie nieruchomo, nie dalej niż trzy metry od Wallandera. Kurt mógłby się na niego rzucić i trzasnąć go w kark. To powinno wystarczyć, żeby móc się wydostać ze sklepu.

Mimo to się wahał.

W tym samym momencie zauważył żelazną rurę. Leżała na półce obok mężczyzny. Nie zastanawiał się długo. Bez broni człowiek w kominiarce nie będzie stanowił zagrożenia.

Powoli zaczął wstawać na nogi. Mężczyzna nie drgnął. Wallander wstał.

W tej samej chwili mężczyzna nagle się odwrócił. Wallander rzucił się do przodu.

Mężczyzna szybko odskoczył na bok i Wallander wpadł na półkę z sucharkami i chrupkim pieczywem. Udało mu się utrzymać równowagę. Odwrócił się, żeby ponowić atak, i w tym momencie zamarł.

Człowiek w kominiarce trzymał w ręku pistolet.

Pewną ręką celował prosto w pierś Wallandera.

Następnie powoli podnosił broń, dopóki nie znalazła się na wysokości jego czoła.

Przeszyła go błyskawiczna myśl, że zaraz umrze. Kiedyś przeżył cios zadany nożem. Lecz pistolet skierowany w jego pierś nie spudłuje. Umrze. W wigilię Bożego Narodzenia. W sklepie spożywczym na peryferiach Malmo. Bezsensowna śmierć, do której Mona i Linda będą musiały stale powracać.

Mimowolnie przymknął oczy. Chyba po to, żeby nie widzieć. Albo stać się niewidocznym. Ale zaraz znów je otworzył. Pistolet wciąż był wycelowany w jego czoło.

Wallander słyszał własny oddech. Każdy wydech brzmiał jak jęk. Człowiek z rewolwerem wycelowanym w Wallandera oddychał zupełnie bezgłośnie. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego. Wallander nie widział jego oczu, ukrytych za otworami wyciętymi w kominiarce.

W głowie miał natłok myśli. Dlaczego on nie ucieka? Na co czeka? I dlaczego się nie odzywa?

Wallander nie spuszczał z oczu pistoletu i kominiarki z ciemnymi otworami.

- Proszę nie strzelać - wyjąkał urywanym głosem.

Mężczyzna nie zareagował.

Wallander wyciągnął przed siebie ręce na znak, że nie ma broni i nie zamierza stawiać oporu.

- Przyszedłem po zakupy - powiedział, wskazując na sklepową półkę. Uważał, żeby ruch dłonią nie był zbyt gwałtowny. - Byłem w drodze do domu - ciągnął. -

Czekają na mnie. Mam pięcioletnią córkę.

Mężczyzna nie odpowiadał. Żadnej reakcji.

Wallander starał się zebrać myśli. Może źle zrobił, podając się za zwykłego klienta? Czy nie należało powiedzieć prawdy? Że jest policjantem i przyjechał na wezwanie Elmy Hagman, która zameldowała, że koło sklepu kręci się obcy mężczyzna?

Myśli kłębiły mu się w głowie. Wciąż powracały do tego samego, Dlaczego on nie ucieka? Na co czeka?

Nagle mężczyzna w kominiarce zrobił krok do tyłu. Nadal mierzył z pistoletu w głowę Wallandera. Przyciągnął do siebie nogą mały stołek. Wskazał na niego bronią, którą zaraz potem znów skierował w stronę Wallandera.

Wallander zrozumiał, że ma usiąść. Żeby tylko mnie nie związał, pomyślał. Nie chcę być przywiązany, gdyby doszło do strzelaniny.

Powoli ruszył przed siebie i usiadł na stołku. Mężczyzna cofnął się o kilka kroków i wsunął pistolet za pasek spodni.

On wie, że widziałem martwą kobietę, pomyślał Wallander. Był tu wtedy, tylko go nie zauważyłem. Dlatego mnie tu trzyma. Boi się mnie wypuścić. I dlatego mnie związał.

Przyszło mu na myśl, żeby rzucić się na bandytę i szybko wymknąć się ze sklepu.

Ale niebawem porzucił ten pomysł. Tamten ma broń. Co robi, jeśli drzwi do sklepu będą

zamknięte?

Mężczyzna całkowicie panował nad sytuacją.

Do tej pory ani razu się nie odezwał, pomyślał Wallander. Łatwiej sobie wyrobić jakieś pojęcie o człowieku, słysząc brzmienie jego głosu. Ale on jest niemy.

Wallander powoli pokręcił głową, jakby chciał przełamać sztywność karku. Chciał w ten sposób spojrzeć na zegarek.

Za dwadzieścia pięć siódma. Teraz już Mona zachodzi w głowę, co się z nim dzieje. Może się nawet zaczyna denerwować. Ale nie był pewien, czy już dzwoniła na komendę. Jeszcze za wcześnie. Przyzwyczała się do jego częstych spóźnień.

- Nie rozumiem, dlaczego pan mnie tu trzyma - odezwał się Wallander. - Dlaczego nie pozwala mi pan odejść?

Mężczyzna drgnął na dźwięk jego głosu, ale wciąż milczał.

Przez kilka ostatnich minut Wallander zapomniał o strachu. Teraz lęk powrócił ze zdwojoną siłą.

On chyba jest obłąkany, pomyślał. Obrabowuje sklep w Wigilię i morduje starą, bezbronną kobietę. Związuje mnie i mierzy do mnie z pistoletu.

A co najważniejsze, nie ucieka.

Rozległ się dzwonek telefonu stojącego koło kasy. Wallander drgnął. Człowiek w kominiarce nie zareagował. Jakby nie słyszał.

Sygnal nie ustawał. Mężczyzna był nieporuszony. Wallander usiłował odgadnąć, kto dzwoni. Może ktoś się dziwi, że Elma nie wraca do domu? Najprawdopodobniej tak. Powinna była już zamknąć sklep. Są święta. Gdzieś czeka na nią rodzina.

Wallander czuł narastający gniew. Uczucie tak silne, że przesłoniło strach. Jak można tak bestialsko zamordować starą kobietę? Co się właściwie dzieje w Szwecji?

Często dyskutowali o tym w pracy, podczas posiłku lub przerwy na kawę. Również wtedy, gdy omawiali bieżące dochodzenia.

Co się właściwie dzieje? W szwedzkim społeczeństwie pojawiła się niewidoczna szczelina. Zarejestrowały ją czułe sejsmografy. Jak ona powstała? To, że zmienia się charakter przestępstw, nie jest niczym szczególnym. Trafnie wyraził to jeden z kolegów Wallandera:

- Kiedyś kradziono gramofony, a nie radia stereo. Z tej prostej przyczyny, że ich nie było. Ale nowo powstała szczelina jest innego rodzaju. Chodzi o eskalację przemocy.

Okrucieństwo, którego nie uzasadniały żadne okoliczności.

W tej szczelinie znalazł się teraz Wallander. W wieczór wigilijny. Naprzeciwko niego stał zakapturzony mężczyzna z pistoletem za paskiem spodni. A kilka metrów za nim leżała martwa kobieta.

W tym wszystkim brakowało sensu. Zwykle po dłuższym i intensywnym namyśle można

było odnaleźć jakiś punkt zaczepienia. Ale nie w tym przypadku. Nie zabija się żelazną rurą kobiety w leżącym na uboczu sklepie, jeżeli to nie jest absolutnie konieczne. Jeżeli nie stawia gwałtownego oporu.

Przede wszystkim nie pozostaje się na miejscu zbrodni, czekając nie wiadomo na co.

Znow rozległ się dzwonek telefonu. Tym razem Wallander był pewien, że ktoś czeka na Elinę Hagman i zaczyna się niepokoić.

Usiłował odgadnąć myśli mężczyzny w kominiarce.

Tamten wciąż milczał i stał nieruchomo z opuszczonymi ramionami.

Telefon zamilkł. Światło lampy jarzeniowej zaczęło migać.

Wallander zdał sobie nagle sprawę, że myśli o Lindzie. Widział siebie, jak staje uradowany w drzwiach mieszkania przy Mariagatan, a ona do niego podbiega.

Cała ta sytuacja jest nienormalna, pomyślał. Co ja robię na tym stołku? Z ogromnym śnięciem na karku i pełen strachu, który przyprawia mnie o mdłości.

Wykręcił głowę, by spojrzeć na zegarek. Wskazywał za dziewiętnaście siódma.

Teraz Mona już dzwoni i pyta o niego w komendzie. Mona się nie da spławić, jest uparta. W końcu dobije się do Hemberga, a ten uderzy na alarm. Prawdopodobnie sam się przyłączy do akcji. Zawsze znajdują się ludzie, kiedy policjant jest w niebezpieczeństwie. Wtedy nawet dowódcy bez wahania wyruszają w teren.

Znow zbierało mu się na mdłości. W dodatku niedługo będzie musiał pójść za potrzebą.

Czuł, że już nie zniesie biernego wyczekiwania. Miał tylko jedno wyjście. Musi zacząć rozmowę z mężczyzną ukrywającym twarz pod czarną kominiarką.

- Jestem policjantem w cywilu - zaczął. - Najlepiej, jak pan złoży broń. Niedługo będzie się tu roić od radiowozów. Więc lepiej oddać broń. Żeby jeszcze nie pogarszać sytuacji.

Wallander mówił powoli i wyraźnie. Starał się, by jego głos brzmiał zdecydowanie.

Mężczyzna nie reagował.

- Niech pan odda broń - powtórzył Wallander. - Może pan tu zostać albo stąd odejść. Ale proszę zostawić broń.

Nadal żadnej reakcji.

Może to niemowa, pomyślał Wallander. Albo jest tak otumaniony, że nic do niego nie dociera.

- Mam w kieszeni służbową legitymację - ciągnął Wallander. - Może pan sprawdzić, że mówię prawdę. Chyba pan już zauważył, że nie mam broni.

Wreszcie doczekał się reakcji. Doszedł go jakiś dźwięk, nie wiedział skąd.

Brzmiał jak cmoknięcie ustami albo kląśnięcie językiem.

To wszystko. Mężczyzna się nie poruszył.

Minęło około minuty.

Nagle mężczyzna podniósł do góry rękę. Chwycił za czubek kominiarki i ściągnął ją z głowy.

Wallander miał przed sobą jego twarz. Patrzył prosto w ciemne, znużone oczy.

Później się często zastanawiał, czego się wtedy właściwie spodziewał. Jak sobie wyobrażał twarz pod kominiarką? Jeśli czegoś był całkowicie pewny, to tego, że na pewno nie tak.

Mężczyzna naprzeciwno miał czarną skórę. Nie o brązowym czy miedzianym od-cieniu, jaki miewają Metysi, ale całkowicie czarną.

Był bardzo młody. Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat.

Zaskoczony Wallander usiłował uporządkować myśli. Mężczyzna prawdopodobnie nie rozumiał po szwedzku. Wallander powtórzył te same słowa łamaną angielsz-czyzną. Było widoczne, że mężczyzna go zrozumiał. Wallander mówił bardzo powoli.

Powiedział, że jest policjantem, że za chwilę koło sklepu pojawi się mnóstwo radiowozów, i radził mu oddać broń.

Chłopak odmówił niemal niewidocznym ruchem głowy. Na odsłoniętej twarzy widać było skrajne wyczerpanie.

Muszę pamiętać, że ten człowiek bestialsko zamordował starą kobietę, myślał

Wallander. Potem mnie ogłuszył, skrępował sznurem i trzymał na muszce.

Powtarzał sobie zasady postępowania w takich sytuacjach. Zachować spokój, unikać gwałtownych ruchów i prowokujących komentarzy. Mówić spokojnym, równym głosem. Cierpliwie i łagodnie. Podjąć próbę nawiązania rozmowy. Nie tracić panowa-nia nad sobą.

Pomyślał, że może na początek powie coś o sobie. Wyjaśnił, że był w drodze do domu, żeby spędzić Wigilię z żoną i z córką. Widział, że chłopak słucha.

Zapytał, czy go rozumie.

Chłopak kiwnął głową. Nadal się nie odzywał.

Wallander spojrział na zegarek. Mona już na pewno dzwoniła. Hemberg może się zjawić w każdej chwili.

Postanowił powiedzieć to chłopakowi.

Tamten słuchał. Wallander odniósł wrażenie, że czeka na dźwięk policyjnych syren.

Wallander zamilkł. Spróbował się uśmiechnąć.

- Jak masz na imię? - spytał. - Każdy ma jakieś imię.

- Oliver.

Głos miał niepewny. Przegrany, pomyślał Wallander. On na nikogo nie czeka.

Może tylko na to, żeby mu ktoś wytłumaczył, co uczynił.

- Mieszkaś w Szwecji?

Oliver skinął głową.

- Jesteś obywatelem szwedzkim?

Niepotrzebne pytanie, skarcił się w duchu.

- Nie.

- Skąd pochodzisz?

Oliver nie odpowiedział. Wallander czekał. Był pewien, że odpowiedź nastąpi.

Chciał się dowiedzieć jak najwięcej, zanim przyjadą Hemberg i radiowozy. Ale nie był w stanie niczego przyspieszyć. Czarny chłopak mógł w każdej chwili wyciągnąć pistolet i go zastrzelić.

Znow rozboleła go potylicą. Starał się nie zwracać na to uwagi.

- Każdy skądś pochodzi - ciągnął. - Afryka jest ogromna. Uczyłem się o niej w szkole na geografii. To był mój ulubiony przedmiot. Uczyłem się o pustyniach i rzekach. I o bębnach, które dudnią nocą.

Oliver słuchał w napięciu. Wallander miał uczucie, że jest mniej czujny.

- Na przykład Gambia - powiedział. - Tam dużo Szwedów spędza urlop. Nawet niektórzy moi koledzy. Czy pochodzisz stamtąd?

- Z Południowej Afryki - padła szybka, niemal ostra odpowiedź.

Wallander nie bardzo wiedział, co się właściwie dzieje w Południowej Afryce.

Poza tym, że doktryna apartheidu coraz bardziej pogłębiała panującą tam segregację rasową. Słyszał również, że w tym kraju wzrasta opór czarnej ludności. Czytał o bombach wybuchających w Johannesburgu i Kapsztadzie.

Wiedział, że pewna liczba Afrykańczyków uzyskała azyl w Szwecji. Większość brała czynny udział w ruchu oporu i w razie powrotu groził im wyrok śmierci.

W myśli podsumował dotychczasowe fakty. Młody Południowy Afrykańczyk, Oliver, zamordował Elmę Hagman. To wszystko, co w tej chwili wiedział.

Nikt by mi nie uwierzył, pomyślał. Coś takiego nie mogło się zdarzyć. Nie w Szwecji i nie w Wigilię.

- Zaczęła krzyczeć - odezwał się Oliver.

- Musiała się przestraszyć. Człowiek, który wchodzi do sklepu w kominiarce na twarzy, to przerażający widok - rzekł Wallander. - Szczególnie jak ma w ręku pistolet albo metalową rurę.

- Nie powinna była krzyczeć - powtórzył Oliver.

- Nie powinienes być jej zabijać - odparł Wallander. - I tak dałaby ci pieniądze.

Oliver wyszarpnął pistolet zza paska spodni. Zrobił to tak szybko, że Wallander nawet się nie połapał. Zobaczył tylko wycelowany w swoją głowę pistolet.

- Nie powinna była krzyczeć - powtórzył znowu Oliver. Głos mu się łamał ze zdenerwowania i strachu.

- Mogę cię zabić - zagroził.

- Tak - zgodził się Wallander. - Możesz. Ale dlaczego miałbyś to zrobić?

- Nie powinna była krzyczeć.

Wallander zdał sobie w tym momencie sprawę, że źle ocenił sytuację. Południowy Afrykańczyk wcale nie był opanowany i spokojny. Znajdował się na granicy załamania. Wallander nie potrafił przewidzieć jego reakcji. Zaczął się poważnie obawiać, że w chwili kiedy się pojawi Hemberg, może dojść do prawdziwej masakry.

Muszę go rozbroić, pomyślał. To najważniejsze. Przekonać go, żeby schował pistolet. Ten człowiek może zacząć strzelać na oślep. Hemberg jest bez wątpienia w drodze i nie ma pojęcia, co tu zastanie. Z pewnością nie spodziewa się czegoś takiego.

Tak jak i ja się nie spodziewałem. Oby to się nie skończyło jakąś katastrofą.

- Od jak dawna jesteś w Szwecji? - zapytał.

- Od trzech miesięcy.

- Nie dłużej?

- Przyjechałem z zachodnich Niemiec - wyjaśnił Oliver. - Z Frankfurtu. Nie mogłem tam już zostać.

- Dlaczego?

Oliver nie odpowiadał. Wallander domyślał się, że nie po raz pierwszy wciągnął na twarz kominiarkę i okradł leżący na uboczu sklep. Kto wie, czy nie uciekał przed niemiecką policją. To by oznaczało, że w Szwecji przebywa nielegalnie.

- Co takiego się wydarzyło? - pytał dalej Wallander. - Nie we Frankfurcie, lecz w Południowej Afryce. Dlaczego musiałeś uciekać?

Oliver zrobił krok w kierunku Wallandera.

- Co pan wie o Południowej Afryce?

- Niewiele. Właściwie tylko tyle, że czarna ludność ma tam ciężkie życie. Wallander ugryzł się w język. Czy można powiedzieć „czarna”, czy to brzmi pogardliwie?

- Policja zabiła mi ojca. Zatłukli go młotkiem, a potem ucięli mu rękę. Pewnie ją przechowują w jakimś słoiku. Może w Sanderton. Może na innym przedmieściu Johannesburga, gdzie mieszkają biali. Na pamiątkę. Jego jedynym przewinieniem była przynależność do ANC⁴. To, że dyskutował z kolegami w pracy o oporze i wolności.

⁴ ANC (The African National Congress) Afrykański Kongres Narodowy - do 1989 roku organizacja narodo-wowyzwoleńcza czarnej ludności w RPA działająca na rzecz likwidacji reżimu apartheidu, obecnie centrole-wicowa partia polityczna (przyp. tłum.).

Wallander nie wątpił w prawdziwość jego słów. Mimo całego wzburzenia głos Olivera brzmiał spokojnie. To była chwila prawdy.

- Mnie też zaczęła szukać policja - ciągnął Oliver. - Ukryłem się. Każdą noc spędzałem w innym łóżku. Wreszcie dotarłem do Namibii, a stamtąd do Europy. Do Frankfurtu. A później tu. Przez cały czas uciekam. Właściwie nigdzie mnie nie ma.

Oliver zamilkł. Wallander wyczekiwał odgłosu zbliżających się radiowozów.

- Potrzebowałeś pieniędzy - stwierdził. - Odkryłeś ten sklep. Właścicielka zaczęła krzyczeć i dlatego ją zabiłeś.

- Mojego ojca zabili młotkiem. I jego ręka pływa w spirytusie. On jest w szoku, pomyślał Wallander. Bezradny i zdesperowany.

- Jestem policjantem - rzekł Wallander. - Ale nigdy nikogo nie uderzyłem w głowę młotkiem. Tak jak ty mnie.

- Nie wiedziałem, że pan jest policjantem.

- Na swoje szczęście. Ale teraz zaczęli mnie już szukać. Wiedzą, gdzie jestem.

Musimy wspólnie wszystko wyjaśnić.

Oliver potrząsnął pistoletem.

- Jak ktoś będzie chciał mnie schwytać, będę strzelał.

- To ci tylko zaszkodzi.

- Gorzej już być nie może.

Wallander nagle skierował rozmowę na inne tory.

- Jak myślisz, co powiedziała by twój ojciec, gdyby się dowiedział, co zrobiłeś?

Przez ciało Olivera przeszedł dreszcz. Wallander zrozumiał, że chłopak nigdy nie zadał sobie tego pytania. Lub może zadawał je sobie zbyt często.

- Obiecuję, że nikt cię nie będzie bił - zapewnił Wallander. - Masz moje słowo.

Ale popełniłeś najcięższe przestępstwo. Zamordowałeś człowieka. Jedyne, co ci pozostaje, to oddać się w ręce policji.

Oliver nie zdążył odpowiedzieć. Nagle doszedł ich hałas nadjeżdżających samochodów. Gwałtownie zahamowały. Słychać było trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Psiakrew, zaklął w duchu Wallander. Przydałoby się więcej czasu. Powoli wyciągnął przed siebie rękę.

- Oddaj mi pistolet - zwrócił się do chłopaka. - Nic ci się nie stanie. Nikt cię nie będzie bił.

Usłyszał walenie w drzwi i głos Hemberga. Przerażony Oliver patrzył to na drzwi, to na Wallandera.

- Pistolet - powtórzył Wallander. - Daj mi go.

Hemberg zawołał Wallandera.

- Zaczekajcie! - odkrzyknął Wallander. Powtórzył to samo po angielsku.

- Wszystko w porządku? - pytał zaniepokojony Hemberg.

Nic nie jest w porządku, pomyślał Wallander. To jakiś koszmar.

- Tak - zawołał. - Czekać. Nic nie róbcie.

Znów powtórzył to samo po angielsku.

- Daj mi pistolet. Oddaj mi go teraz.

Oliver skierował nagle pistolet w górę i wystrzelił. Rozległ się ogłuszający huk.

Potem wycelował w drzwi. Wallander krzyknął ostrzegawczo do Hemberga i w tym samym momencie rzucił się na Olivera. Przewrócili się na podłogę, ściągając na siebie stojak na gazety. Wallander myślał tylko o broni. Oliver drapał go po twarzy, wykrzykując coś w niezrozumiałym języku. Z całej siły szarpał Wallandera za ucho.

Rozjuszony Kurt uwolnił rękę i usiłował trafić Olivera w twarz zaciśniętą pięścią. Pistolet poleciał w bok i leżał między rozsypanymi gazetami. Wallander już po niego sięgał, kiedy Oliver kopnął go prosto w żołądek. Wallander stracił oddech. Bezsilnie patrzył, jak Oliver dopada do pistoletu. Kopnięcie go obezwładniło. Oliver siedział na podłodze wśród gazet i mierzył do niego z broni.

Po raz drugi tego wieczoru Wallander z zamkniętymi oczami czekał na to, co nieuchronne. Teraz zginie. Nic więcej nie może zrobić. Pod sklep zajeżdżały kolejne radiowozy na syrenie, podenerwowane głosy wykrzykiwały pytania.

To tylko ja umieram, pomyślał Wallander. Nic więcej.

Powietrze przeszył ogłuszający strzał. Wallandera odrzuciło do tyłu. Usiłował zła-pać oddech.

Potem uświadomił sobie, że nie został postrzelony. Otworzył oczy.

Przed nim na podłodze leżał Oliver.

Strzelił sobie prosto w głowę. Obok niego leżała broń.

Do jasnej cholery, pomyślał Wallander. Dlaczego to zrobił?

W tej samej chwili ktoś wyważył drzwi. Wallander dostrzegł Hemberga. Później spojrzął na swoje ręce. Trzęsły się. Trząś się na całym ciele.

Dostał kubek kawy i opatrzyli mu podrapaną twarz. Złożył Hembergowi krótką relację z przebiegu wydarzeń.

- Nie miałem o niczym pojęcia - tłumaczył Hemberg. - Dlatego prosiłem, żebyś tu wstąpił po drodze.

- Nie mogłeś przecież wiedzieć - odparł Wallander. - Czy kiedykolwiek przyszłoby to komuś do głowy?

Hemberg przez chwilę rozważał jego słowa.

- Coś zaczyna się zmieniać - odezwał się. - Przez nasze granice przenikają kłopoty.

- Sami również je sobie stwarzamy - odrzekł Wallander. - Chociaż akurat Oliver był nieszczęsnym wygnańcem z Południowej Afryki.

Hemberg zeszywniał, jak gdyby Wallander powiedział coś niestosownego.

- Wygnaniec jak wygnaniec - wycedził. - Nie Spodoba mi się, kiedy cudzoziemscy przestępcy płyną strumieniem przez nasze granice.

- Przecież tak nie jest - zaprotestował Wallander.

Zapadła cisza. Ani Wallander, ani Hemberg nie mieli ochoty na dalszą dyskusję.

Wiedzieli, że się nie dogadają.

- Dlaczego on właściwie nie uciekł? - zapytał Hemberg.

- A dokąd właściwie miał uciekać?

Przez chwilę milczeli.

- Zatelefonowała do nas twoja żona - odezwał się znowu Hemberg. - Dziwiła się, że jeszcze nie wróciłeś. Podobno dzwoniłeś do niej, że jesteś w drodze.

Wallander przypomniał sobie telefoniczną rozmowę. Krótką kłótnię. Ale odczuwał tylko zmęczenie i pustkę. Odpędził złe myśli.

- Może zadzwonisz do domu - zaproponował ostrożnie Hemberg.

Wallander spojrzał na niego.

- I co mam powiedzieć?

- Że się spóźnisz. Na twoim miejscu nie opowiadałbym szczegółów przez telefon.

Poczekalibyśmy, aż wrócę.

- Przecież nie jesteś żonaty?

Hemberg się uśmiechnął.

- Mimo to potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś czeka w domu.

Wallander kiwnął głową. Podniósł się ciężko z krzesła. Cały był obolały. Co jakiś czas go mdliło.

Przecisnął się do wyjścia między Sjunnessonem i pozostałymi policjantami.

Wyszedł na zewnątrz, przystanął i zaczerpnął w płuca chłodne powietrze. Potem ruszył do radiowozu. Usiadł na przednim siedzeniu, spojrzał na radiotelefon, a potem na zegarek. Dziesięć po ósmej. Wigilia 1975 roku.

Przez wilgotną szybę dostrzegł telefoniczną budkę na stacji benzynowej. Wsiadł z auta i ruszył w tamtą stronę. Pewnie jest zepsuta. Ale chciał spróbować.

Na deszczu stał mężczyzna z psem na smyczy i przyglądał się radiowozom i oświetlonemu sklepowi.

- Coś się stało? - zapytał.

Zmarszczył czoło na widok poharatanej twarzy Wallandera.

- Nic - odparł Wallander. - Wypadek.

·
·
·
·
·
·
·

Mężczyzna z psem domyślił się, że Wallander nie mówi prawdy. Ale nie zadawał więcej pytań.

- Wesołych świąt - powiedział.

- Dziękuję, nawzajem - odrzekł Wallander.

Potem zadzwonił do Mony.

Deszcz się wzmaczał i zerwał się wiatr. Porywisty wiatr z północy.

Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  